



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

<p>PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)</p>	<p>Adres: Ziota Nr. 23.</p>	<p>Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych.</p>
<p>W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie ra. 2, rocznie ra. 8 z odnośnieniem do domu.</p>	<p>Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.</p>	<p>Sprzedat pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.</p>
<p>Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie ra. 2 k. 50, rocznie rs. 10.</p>	<p>Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.</p>	<p>Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jedno miejsce.</p>
<p>Redakcja drobne nie zwracają się.</p>		

TREŚĆ. *Polityka:* Nowe zagony. — *Tydzień polityczny.* — *Powieści:* Bitwa pod Waterloo przez Aleksandra Kiellanda. — *Życie społeczne:* Szkoła średniolwieczna p. Al. E. — *Badania naukowe:* Teorya Cezara Lombroso i p. Lud. Kryzw. — *Z Niemiec:* p. Jana Karłowicza. — *Literatura i sztuka:* Renan w dramacie I. — *Tajemnice „Smilanski”* II. p. H. K. — *Kurki estetyczne* p. Wiktora Gomulickiego. — *Epitafium* Liberum veto p. Paula Prawdy. — *Na widokrepu* p. K. Zbruckiego. — *Z Cesarstwa* p. J. L. Popławskiego. — *Kronika bieżąca.* — *Odpowiedzi redakcyi:* — *Opisy.* — *Ogłoszenia.*

POLITYKA.

NOWE ZAGONY.

Ze wszystkich pól na jakich niemiecyzna walczy z żywiołami słowiańskimi, najcięższą pracę ma ona w Czechach. Tam bowiem spotyka przeciwników wytrwałych, śmiałych, przebiegłych, niezmordowanych i umiejętnie wyszukujących każde prawo zdobycie, każdą sposobność. Tam też wroć najzaciętszy, a chociaż jedna strona posiada ciągle przewagę przywilejów, druga nie jest na tyle słaba, ażeby nigdy zwyciężyć nie mogła. W tym kotle ustawicznych i namiętnych swarów zagotowała się znów stara nienawiść. Jeszcze w r. 1853 wydany został patent cesarski, zalecający sądom uwzględnianie języków miejscowych. W r. 1880 wyszło rozporządzenie, nakazujące w całych Czechach ogłaszać postanowienia i wyroki w tym języku, w którym wniesiono podanie do władzy. Niektóre jednakże okręgi (północno-zachodnie) utrzymały dawniejszą praktykę i pozostawiły w sądach niemieczną. Czesi, którzy nigdy nie zapominają o swych prawach, wydobyli i to, żądając wprowadzenia go w życie. Niemcy, uznający słusność w tem tylko, co im bezpośrednio korzystnie przynosi, i pomimo niesprawiedliwej przewagi wbrew stosunkowi liczebności przewodząc w Austrii, skąpią najdrobniejszego ustępstwa innym ludom monarchii — naturalnie podnieśli kryski. Jakiż to dzień słowiański, miserni czesi! śmia dopominać się o równouprawnienie dla swego języka, śmia ograniczać ich *Weltsprache!* Jest to dziś jeszcze żądaniem tak zachwałem, że nie każdy słowianin postawi je otwarcie i nie ukleśnie na jedno kolano przed majestatem mowy, którą tak długo kazano mu uważać za świętą i nietykalną!

Minister sprawiedliwości wszakże, baron Prażak, któremu czesi dawno już dodawali odwagi w tej sprawie, zdecydował się na krok stanowczy: wydał okólnik do trybunałów nadziemskich w Pradze i Bernie, polecający, aby rezolucye, dekrety i wyroki sądowe spisywane w tym języku, w którym wniesiono było podanie lub skarga. Okólnik ten, naturalnie, zobowiązuje wszystkich urzędników sądowych do znajomości dwu języków, a więc niemców — do wyuczenia się po czesku. Dla ludzi przywykłych ze wagać patrzeć na „narzecz” słowiański i poczytujących mowę swoją za jedyne zdolną do wyrażania pojęć wyższego rzędu, a zatem i zasad prawa — był ten obowiązek czesny, co władać nie mogło w ich kategorye myślenia. Uderzyli przeto na gwałt, aż sznur alarmującego dzwonu w parlamencie chwycił posel Magg. Minister miał odpowiedzieć łatwą, bo opierał się na ustawie. Mianowicie przypomniat rozporządzenia z r. 1853 i 1880, które dla podstawę jego obecnemu okólnikowi a nie słuszenie dotąd leżały na składzie niewykonalne.

Niechaj jednakże czytelnik nie sądzi, ażeby ta operacja odbyła się z należytą stanowczością i bez uwagi na kaprys amputowanego, któremu narosł odcioć. Zarówno Prażak, jak Thaffa, jak wreszcie gazety rządowi przyjaźne zakęły się na wszystkich bogów, że nawet w gorączkowych snach nie myślą o wprowadzeniu niemieczny ze stanowiąca uprzywilejowanego, że pozostawia jej „lwią część” praw na wieki wieków. Wszyscy ludzie żywciliwi Austrii — według tych zapewnień — nie targną się nigdy na ten dogmat, że język niemiecki winien być spodem jej ludów, chociaż ich większość go nienawidzi i używa niechętnie. To przekonanie nie dopuszcza różnicy zdań, jest pewnikiem, niepotrzebującym dowodzenia, a wątpliwym chyba dla wartogłowów

i prostaków, pozabawionych władzy i na „wagłędy wyższe.”

Hold taki, złożony przez rząd i prasę językowi niemieckiemu, nie zadowolili jednak tych, którzy go dumnie przyjmowali. Ustępstwo, zrobione „czeskiemu narzecz”, obciągnęło chmurą ozła „trągorów” kultury a żałosną obwódką ich dzienniki. W rozporządzeniu ministra widzą oni gwałt, ten godniejszy nagany, że nie nasyoi głodu czeszych, ale go tylko zaostczy. Rzeczywiście, zaczęli oni natychmiast żądać, ażeby na pieniądzech papierowych umieszczono również napisy w ich języku. Jakkolwiek i ta sprawa rodmuchała wiecznie tłójące zarzewie niezgody, ma ona znaczenie daleko mniejsze od poprzedniej. Tu już nie chodzi o rzecz, ale o formę, która może być uzasadniona, ale istoty życia narodowego nie dotyczy. Napisy czeskie na guldenach austrijskich miałyby wartość bardzo nieważką, i jeżeli gazety praskie uzbroidy się mocno do walki, dowodzi to, że lepszego do niej godła w obecnej chwili nie posiadają.

Pomijając narodowości drobne, niewyrażające głębszego wpływu na bieg polityki państwowej, widzimy z nieprzerwywanego się szeregu faktów, że jeśli dziś Austria czuje pewne rozluźnienie swych więzów, najślisniej ją rozstrząsają czesi. Węgrzy z wyjątkowego stosunku do monarchii czerpią tylko zadowolenia, polacy galicyjscy lojalizm posuwają do najdalejszych granic pokory i każde przedsięwzięcie kończą uległością dla rządu, natomiast czesi, najbardziej pomieszanzy z Niemcami i najenergiczniejsi w dochodzeniu swych praw, wbijają klin po klinie w świątą karpe. Wytworzyło się nawet między nimi stronnictwo, które apostołuje wszechstroniam i niedwuznacznie napomyka, że zamieniliby stosunek obecny na inny. Stronnictwo to bez skrupułu poświęca interesy monarchii już nie dla potrzeb własnego

kraju, ale dla zgody z logiką doktrynastwa. Usuwając wszelkie z rachunku teoretyczne, często grubą słopectą zaprawiono mrzonki, same praktyczne i konstytucyjne dążenia Czechów naruszając ciągle spójność Austro-Węgier, gdyż są wymierzone przeciwko niemieckiemu charakterowi państwa i przeprowadzane z niezłomną wytrwałością. Poostawiamy na obocznym pytanio: czy zawsze korzysty najbliższa zawierająca w swym łonie dalszą, czy niekiedy wzgląd na dobro ogólnie nie wymagał pewnej ofiary z dobra szczegółowego, gdyż ścisła odpowiedź byłaby tu niemożliwą; szanujemy ową nieustającą pracę Czechów nad poprawą doli narodu i nad rozluźnieniem węzłów, trzymających zlepek austriacki w jedności. Jeżeli monarchia habsburska smieni swą postać, przetradowi się, odniemaczeje nie wskutek przyczyn zewnętrznych, lecz rozwoju wewnętrznego, w kierunku tym popchną ją głównie nie polacy, rusini, słowacy lub słowienicy, lecz czesi. Oni stanowią w niej najzupełniejszy, najwytrwalszy i najśmielszy czynnik słowiański, oni najmniej kierują się w polityce interesami całego państwa. Najlepiej pojmujemy tę ich działalność, jeżeli równolegle z nią ocenimy zasady postępowania galicyan. Polacy, występując z jakimkolwiek żądaniem, badają przedewszystkiem, czy ono nie szkodzi rządowi, a najmniejsza wątpliwość skłania ich do zrzeczenia się najuluszniejszych pretensyj; czesi, przeciwnie, oco ogólnie usuwają sobie z przed oczu i wpatrują się jedynie w dobro własne, które tworzy wyjątkową podstawę każdego ich przedsięwzięcia. Pierwsi dopasowują się do państwa, drudzy wyosobniają się z niego. Przyszłość okaże, która metoda była lepsza na daleką metę, teraźniejszość musi wystawić czochem świadectwo niesmordowanej troskliwości o siebie. Po tej drodze

idą oni ciągle naprzód, i przysnąć trzeba, że w krótkim stosunkowo czasie — uszli daleko. Jak widzieliśmy, świeżo zdobyli nowe zagony.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przybycie okrętów wojennych rosyjskich do Wary, jeżeli nie jest wstępem do okupacji, samo przez się przedstawia bardzo poważny i energiczny środek oddziaływania na rząd bułgarski i opinię kraju. Skrzyszał zaś natychmiast Kaubars i przesłał regencyi notę z żądaniem, aby oficerów uwiecznionych wypuszczono i zaprzestano prześladowania poddanych rosyjskich oraz „zdrowo-myślących“ bułgarów. Rząd bułgarski rzeczywiście głównych uczestników spisku — Grujewa i Bendorewa uwolnił (wprawdzie za kaucją) i poprosił przedstawicieli Rosji o wskazanie winnych dla surowego ich ukarania. P. Kaubars na to odpowiedział znów przesłaniem *ultimatum*, w którym oświadcza, że w szczególności sprawy wdać się nie będzie, gdyby jednak nastąpił jakiegokolwiek zaburzenie, skierowane przeciw Rosji lub poddany rosyjskim, przedstawiciele rządu cesarskiego opuszczają natychmiast Bułgarię.

Regencya po tak stanowczem oświadczeniu wykazywać zaczęła dążności pojednawcze. Zapropnowano nawet przedstawicielowi Rosji, że utworzony będzie rząd koalicyjny, złożony z reprezentantów wszystkich stronnictw. Świadomi rzeczy korespondenci twierdzą jednak, że nie zmieniliby to sprawy, ponieważ Karawelowa i Cankow występują głównie ze względów osobistych i potępiają tylko niewłaściwy sposób postępowania, w zasadzie zaś podziwiają poglądy regencyi.

Pojednawcze usposobienie wyraziło się również w mowie, wygłoszonej przez Stambulowa przy otwarciu zgromadzenia narodowego w Tyrnowie. Stronnictwo niezależne posiada w sejmie znaczną większość, ale ta rozpadła się na dwa odłamy: umiarkowanego, pragnącego polubowego zakończenia sprawy, i „gorliwych“, którzy

postawili chęć kandydaturę Battenberga i otwarcie zerwać z opieką rosyjską. Umiarkowani bezwzględnie wezmą górę, tam bardziej, że w stanowiącej chwili poprzę ich zwolennicy Karawelowa i Cankowa, zamierzają oni wybrać na tron księcia Waldemara duńskiego, chociaż ten prawdopodobnie wyzniesie się tak niebezpiecznego szaszytu, zwłaszcza że mocarstwa nie uważają zgromadzenia za legalne. Dotychczas w Tyrnowie znajdują się tylko konsulowie angielski i włoski, ale i ci przy otwarciu obrad nie byli obecni. Austria dopiero w ostatniej chwili wysłała wice-konsula, i to podobno za zgodą Rosji. Jest to po prostu manewr, mający na widoku utrudnienie opozycji we wspólnych delegacjach, które właśnie w tych dniach zbiorą się i zakładają objaśnić od rządu w sprawach polityki wewnętrznej.

Sprawa egipska przybiera coraz obrót niepożądany dla Anglii, Francja bowiem, pewna poparcia Rosji i Turcji, występuje dosyć energicznie. Przywrócenie stosunków przyjaznych między rządem francuskim i rosyjskim stwierdzone zostało zamianowaniem posła Rzeczypospolitej w Petersburgu p. Laboulaye'a, syna znanego pisarza i zaciętego nieprzyjaciela Niemiec. Rosya dała w tym względzie nawet dowód uprzedzającej grzesności, pierwszy raz, wbrew tradycjom, przyjmując posła cywilnego.

Z nastąpieniem jesieni, zaczynają się znów ruchy robotnicze. W Charleroi w Belgii odbyła się wielka manifestacja, w której przyjęło udział 12,000 ludzi. Telegramy wyrażają się o niej bardzo dwuznacznie: „nastąpiło starcie z wojskiem, ale porządek nie został zakłócony.“ Socjaliści londyńscy zamierzali urządzić wielki pochód leśm ministerium zabroniło. Ale ponieważ rozkaz ten jest pogwałceniem konstytucyi, komitet robotniczy oświadczył, iż pomimo to pociągną w 8 listopada nastąpi i uczestnicy jego wszelkimi środkami bronią będą swobody konstytucyjnej. Oprócz tego kłopotu dla rządu angielskiego, posiada on inny, chroniczny, który jednak od czasu do czasu występuje w ostrzejszej formie. W Irlandyi liczba przestępstw rolnych warstwa znówu. Rząd wystąpił myśli o całym szeregiem reform, ale

5)

POWIEŚĆ.

BITWA POD WATERLOO

przez

Aleksandra Kiellanda.

Nagle zerwał się. Kapitan uderzył go w ramię.

— Ten więc punkt miałem zająć. Coż pan o tem myśli?

Tu przypomnieli się Jasiowi rady wuja Fryderyka, i kiwając gwałtownie głową, zawołał:

— Naturalnie! Rzecz jedynie właściwa! Klucz pozycji.

Kapitan ochmurniał i spoważniał bardzo, lecz gdy spostrzegł zakłopotanie Jasia — dobrodusłość jego znów wzięła górę, i śmiejąc się, rzekł:

— Nie, mój szanowny młodzieńcze, mylisz się najzupełniej... Zresztą, dodał z łagodnym uśmiechem, jest to błąd, który pan podzielaś z kilkoma naszymi wielkimi powagami... Nie, teraz ja pana wekaże klucza pozycji.

I kapitan rozpoczął rozwlekłe opowiadanie: pozycyja, którą mu rozkazano zająć,

nie miała żadnego strategicznego znaczenia — natomiast manewry, które na własną rękę przedsięwziął, wprowadziły nieprzyjaciela w kłopot największy, tak, że korpus B. był przez kilka godzin wstrzymany, nie mogąc się naprzód posunąć.

Kuzynek Jas był zmęczony i obojętny; podziwiał jednak mądre postępowanie zwierzchnika względem kapitana w razie, gdyby opowiadanie wuja Fryderyka o orderze przy szabl nie było zupełnie na prawdziwe oparte. Bo jeśli manewry prowadzone samodzielnie przez kapitana były może w strategicznym znaczeniu genialne, to zasłużył zupełnie na order przy szabl. Ale z drugiej strony było jasem, że w takiej armii, jak nasza, nie można go już było do niczego użyć, jeśli mógł myśleć, że celem strategii jest kogośkolwiek wstrzymać, albo w kłopot wprowadzić. Wszak musiał wiedzieć, że cel w tem właśnie leży, aby obce nieprzyjacielskie armie z bagażami i wozami kuchennymi zetknęły się w oznaczonym czasie, na oznaczonym miejscu tam, gdzie wielkie śniadanie miało być podane.

Jas siedział jeszcze zotopiony w myślach, gdy kapitan dokończył opowiadania o manowrach. Tym razem był o wiele mniej zadowolony ze swojego słuchacza, aniżeli w fortce, bo Jas był nieco roztargniony.

Wybiła dziesiąta. Ale ponieważ kuzynek Jas postanowił zostać do w pół do dziesiątej, było to zatem najdłuższe pół godziny, jakie dotąd przeczył... Kapitan po-

czął być śpiący a panna Betty odpowiadała zimno i krótko; Jas musiał sam podtrzymywać rozmowę — zmęczony, zły, niecierpliwy i zakochany.

Nareszcie na zegarze dochodziło w pół do dziesiątej. Jas wstał, mówiąc, że zwykł wcześniej udać się na spoczynek, ponieważ najlepiej może pracować, gdy wstaje o szóstej.

— Oh, o — mówił kapitan — czy pan to nazywasz wcześniej udać się na spoczynek? Ja zwykłem kłaść się o dziesiątej!

O nieszczerście nad nieszczerściami! Jas w największym pośpiechu powiedział „dobranoc“ i szybko zbiegł ze schodów.

Kapitan odpowiedział go ześwicoją i przyjacielu! zawołał:

— Dobranoc! — Niech pan nas znówu i prędko zaszczyca swą swoją wizytą.

— Dziękuję — wołał Jas z dołu, ale w głębi duszy obiecywał sobie nigdy już progu tego domu nie przystąpić.

Kiedy stary wchodził do pokoju, zobaczył, że córka jego była zajęta otwieraniem okien.

— Co to ma znaczyć? — zapytał kapitan.

— Przewietrzam po nim pokój — odpowiedziała panna.

— No, no, Betty! Jesteś zaudrzo złością, ale w samej rzeczy muszę przysiąc, że młodzi ludzie po bliższemu poznaniu trochę tracą. Nie znam się już na dzisiejszej młodzieży.

Potem kapitan odrzucił do swojego pokoju, powtarzając odczołk swoje wieczorne napomnienie: — tylko nie siedź za długol!

niem programu normalnego szkoły współczesnej?

Ostateczne wnioski, do jakich dochodzą „reformatorowie katedralni”, dadzą się streścić w kilku następujących słowach: Szkoła powinna być wszechstronną, nie zaś jednostronnym czynnikiem cywilizacji, ponieważ sprawy społeczno-ekonomiczne należą do najbardziej palących zagadnień wieku XIX, szkoła powinna prowadzić w tym kierunku, nie zaś być hamulcem w postępie ludzkości, a tembardziej oddziaływać ujemnie, chociażby pod pewnym tylko względem. Radykalne reformy społeczno-ekonomiczne są dziś tylko kwestią czasu, szkoła więc powinna to uwzględnić, powinna kształcić w ten sposób młode pokolenia, a do dzisiejszego programu nauk sążnitszych i środków włączyć jaknajprędzej nauki ekonomiczne.

Al. E.

BADANIA NAUKOWE.

TEORYA CEZARA LOMBROSO.

I.

Od niejakiego czasu obawy umysłowe Włoch zaczynają zwracać na się coraz większą uwagę i to zarówno w dziedzinie badań czysto naukowych, jako też i twórczości artystycznej, wyrażonej w słowie, tembardziej, że noszą na sobie pewne charakterystyczne znamie, wspólne reszcie krajowi temu z wszystkimi innymi, co długi odanictwo do wspólzdziału w pochodzie cywilizacyjnym zachodniej Europy, przylgają się doń dopiero w czasach ostatnich. Podobnieństwo jest zwłaszcza rzeczą między Włochami a Rosją. I tu i tam wykwiła nieznana prawie gdzieindziej forma powieści, polegająca na sołsem odzorowywaniu prądów, żądań i pragnień ludu wiejskiego, i to nie w zamiarze dostarczenia przyjemności czytelnikowi, lecz stęby zaznajomić go z życiem i potrzebami mas włościańskich. Są to więc raczej szkice publicystyczne o tendencji społecznej, stawiające sobie na celu wytworzenie partii, któreby dążyły jedynie do zaspokajania potrzeb warstw niższych. Następnie rzuca się w oczy niezwykle radykalizm myśli, który wychodzi z zakotów pewnych, dowiedzionych reszcie za granicą, konsekwentnie doprowadza je do ostatecznych wniosków praktycznych i logicznych, a natychmiast chciałby je wcielić w życie. Nauka ma tu charakter więcej popularyzacyjny, a nawet publicystyczny. Czemużkolwiek wyjaśniać będziemy taką krakoć w wnioskowaniu, czy brakiem tradycji historycznej i samodzielnych przyzwyczajen w społeczeństwie, czy też wpływem klimatu, fakt ów pozostaje rzeczywistością, dostarczając właściwych sobie owoców. W tej mierze Włochy stanowią ostry kontrast z Anglią, która prążywszy nawet pewną teorię naukową, uniknęła bądź starannie wypływających stąd wniosków, skoro one stanęłyby w zanadto jaskrawem przeciwieństwie z poglądami i uczuciami społeczności. Dzięki takiemu uosobieniu, wiedza we Włoszech postradała ten charakter zamknięcia kastowego w sobie i wgardzliwej olimpijskiej powagi, jakimi otacza się w niektórych krajach. Ze swych wyzn, w osobie najprzebieższych przedstawicieli schodzi co chwila i miesza się w sprawy zwykłych śmiertelników; nie pogardza nawet polem zapasów dziennikarskich, to w formie popularnej szerzą swe poglądy i walczą za ich rozprzeczanie, to odpiągają czoło, która spadają na nią z pod pióra zwykłych profanów. Wprawdzie ścisłość traci na tom, namietności dnia wkradają się w naukę,

ale ostatecznie oplać się to sownie. Dziennikarz wobec takich przeciwników musi sam zaglądać do dzieł naukowych; więc usuwają się chwasty gazetarskie, wyrzucają o wszystkim, znanem i nieznanem, a umykają od poważniejszych studiów naukowych, jako od dżmy. Abyż zyskać miano obrońcy wiedzy, trzeba nie tylko umieć się do publiczności z uwielbieniem swem dla nauki, lecz i samemu coś umieć.

Przed nami leży zbiór właśnie takich artykułów popularnych Cezara Lombroso, zatytułowany *Pazzi ed Anomali* (1886). Znam jednak przedstawimy czytelnikom *Prawdy* niektóre z pomiędzy nich, rzeknieć umiędzić się do publiczności z uwielbieniem swem dla nauki, lecz i samemu coś umieć.

Posykal on imię rozgłoszone zaledwie przed laty trzema lub czterema dziełem: *Geniusz a obłąkanie* (Genio e Follia). Usiłuje to dowieść, że obłąkanie i objawy geniuszu są zarówno nie tylko stanami nie normalnymi, lecz nadto poniekać pokrewnymi sobie. Psychologiczne warunki, wśród których geniusz tworzy swe dzieła, są w gruncie rzeczy jednakie z wywiązującymi warianty; tem się wyjaśnia, że ludzie, nieodznacający się zgola niczem, w chwilach szalu wariackiego, dają rzeczy niezwyklej wartości artystycznej, a geniusze po przejściu zachwyconia stają się pospolitymi śmiertelnikami, niepojmującymi częstokroć, skąd mieli siłę tyle, aby stworzyć arcydzieło. I warianty i twórcza działalność geniuszu są stanami czasowej hyperemii mózgu, odznaczającymi się żywiołem wyladowywanym i obrzaw, skierowaniem wylazem wszystkich wyjawów psychicznych w jedną stronę i objętością względem wszelkich innych stron życia. W życiu codziennem i jedni i drudzy są oddzieleni, zimnymi na oczu, a rodzinnie, zatopionymi w samych sobie, z wspólnymi piętnami kramologicznymi i odrębnymi chorobami. Krom dwu powyższych postaci, Lombroso wyróżnia jeszcze działy pośrednie, a takie typy półobłąkane, lecz nie na tyle, aby oteżenie przyszło im za wariantów, są częstem zjawiskiem zwłaszcza wśród nowatorów społecznych. W tem znajduje swe wyjaśnienie właściwa im śmiałość tworzenia nowych ideałów i urządzeń politycznych, albowiem normalny człowiek z natury jest zachowawczy, z odrzą i boją się spoglądać na wszelkie nowinki. Atoli w rozumieniu dzieła zawarła się jedynie nieliczna cząstka badań antropologa włoskiego. Należy on jeszcze do założycieli teoretycznych tak zwanej antropologicznej szkoły prawa karnego, którą czytelnicy *Prawdy* znają z niedawno przełożonej broszurki Furrogo. Zasady naukowe tego kierunku wypowiedział Lombroso w swem prawdopodobnie najcenniejszym dziele: *Celownicz-przestępca* („L'omo delinquente“). Jak wariant jest człowiekiem poza społeczną, tak geniusz — nadspołeczny, wybiegający z teraźniejszości w przyszłość, podobnie przestępca stanowi odchylenie w wstecz, w przeszłość pierwotin społecznych. Jest to atawistyczny odrzutek człowieka dzikiego wśród świata cywilizowanego, obdarzony wszystkimi cechami morfologicznymi, fizjologicznymi i psychicznymi wieków dawno ubiegłych. W pojmoowaniu bowiem rozwoju ludzkości, ucnony włos stoi na stanowisku Spencerowskim, widzi w niej ciągłe wzrastające umoralnianie i upośledzenie popędów oraz odnawianie nawet samych kształtów zewnętrznych. Dzikie przedstawia się mu jako uosobienie popędów grubiańsko-lubięskich, żądź krwiożerczych, nieobecnosci uczuć sympatycznych. Takie to osobniki tu i ówczas dobowaly się po dżis wśród ludów cywilizowanych, i im podobniejsze są z swych instynktów do przeszłości dzikiej, tem anti-społeczniejsze i silniej zbrodnicze. Tem się tłumaczy, że dziecko, które

zwłaszcza w pierwszych miesiącach życia przypomina typ dziki i morfologicznie i psychicznie, tak, iż stanowi niby odtworzenie pierwotnych etapów ewolucjonizmu, czuje pociąg także ku czynom zbrodniczym i odznacza się dzikimi stanami uczuć (lubowaniem się w pastwieniu, nieczułością na cierpienia innych, kradzieżą bez celu). Atoli kiedy większość cywilizuje się z wiekiem, niektóre jednostki na zawsze zatrzymują naturę dzicościową i powne odpowiednie stale cechy fizyczne. Są to zbrodniarze; noszą więc od urodzenia wyrzute na sobie znamie Kainowe, przejawiające się w zewnętrznej i wewnętrznej naturze. Długotrąk zbliża ich do dzikiego (i do ozworogowanych); objętość czaszki mniejsza niż u człowieka normalnego; włosenie brody rzadkie, natomiast okrypana gęsta. Odznaczają się nieczułością na chłód i ból, trudno się rumieniać, ale za to nader wrażliwi są na zmiany meteorologiczne i działanie elektryczności; lubią pochlebstwo, są rozrzuśni, skłonni do pijanstwa i rozkoszacji, się raczej w organie, aniżeli w miłości, chtry są nie inteligentni. Oto cechy zasadnicze, właściwe wszystkim kategoriom zbrodniarzy; do nich dodać trzeba drugorzędne, wyróżniające każdy z trzech działów poszczególnych (złodzieje, zabójcy i gwałciociele).

Zbrodniarz, zdaniem Lombroso, jest to więc człowiek dziki, który przez wielki ciał zabałakł się w społeczeństwie cywilizowane. Jego wyznaczniki kranologiczne, długość rąk i forma nóg, napięcie siły w mięśniach, kształt nosa, spojrenie i chłód, wszystko wykazuje potępienie, który swe potępienie przyszło z sobą na świat. Prawdę to dawno uszło doświadczenie ludu, wypowiedziane w przysłowiuach *). Wobec takiej wrodzonosci przestępstwa, jak zachować się na praktyka karna? Oto za skalę postępowania służyć winien psychiczny i fizjologiczny stan przestępcy; nie sam czyn zbrodniczy, lecz to, czy występke jest wypływem organizmicy fizycznej. Wychodząc z tego założenia Sallia, Ferri, wrzesie sam Lombroso („L'incremento del delitto in Italia“) postavili szereg żądań praktycznych, o kierunku których niech da nam pojęcie sam projektodawca, „My pierwsi spośród ogólnego oburzenia woliśmy o korzyściach kary cielesnej, zwłaszcza w odniesieniu do młodości, i powstawaliśmy przeciwko kocz, stanowiącej jedynie szkołę zepsucia, jako też o karze śmierci w niektórych razach; następnie sam już występowałem przeciw złudzeniu, jakoby wykazalenie zdolno poprawić do rozelego przestępcę; wykazywałem, że daje mu jedynie nowy orgę do reki, a przede wszystkim, że nie potrzeba myśleć o poprawie zbrodniarza z takimi naucozycielami jak dosorcy, na których wieniec spogląda jako na ciemięzki.“

Po tem przedmiotem streszczeniu poglądów Lombroso, przystępujemy do zdania sprawy z paru rozpraw najnowszych tego ucnego, zawartych we wspomnianem dziele. Zauważmy jeszcze, że jest on autorem kilku cennych prac z zakresu psychologii („Pensiero e meteore“, „Amore noi pazzi“, „Il sogno“), a nadto, że przeciwko poglądom jego i wnioskom praktycznym toczy się namietna walka, prowadzona przez imiona poważne w świecie slychów zarzut, że antropolog włoski zbyt pochopnie i bez należytých podstaw szafuje wariantami i zbrodniarzami, że zbyt jednostronnie spogląda na zjawiska społeczne i powody zbrodni i że, przejawyjąc nawet jego założenia, możnaby znaleźć humanitarniejsze wyjście. Jakkolwiek tym

*) Lombroso i inni porównywali przysłowia odnoszące się do wyników swych badań. Oszaki, przypisywane złoczycom w przysłowich ludowych, sądzą się z piętnami, wykazane przez tych badaczów.

i wielu jeszcze innym zarzutem przyznajemy zupełną słusność i lubo w wielu zasadniczych punktach uważamy się za przeciwnika tego badacza, z przyjemnością jednak widzieliśmy pracę, z których można by powziąć wyobrażenia o poglądach i badaniach jego, w przekładzie polskim. Zastęguje na to chociażby dla swej oryginalności i konsekwentnego przeprowadzenia psychologicznego pojmowania dzieł, że już nie rzekniemy o naukowem znaczeniu badań jego.

Lud. Krzyżo.

Z NIEMIEC.

Dresno, październik, 1886.

Słódny zjazd orientalistów w Wiedniu. — Sylwetki wybitniejszych członków. — Awantura arabska i na nią odpowiedź wiedeńska. — Chiny i Japonia górą. — Treść rozpraw w wydzielach. — „Schriftstellervereinigung“ iłczy 25 głosów i trzy damy.

Trzy lata temu zdawałem sprawę w *Prawdzie* (1883, nn. 40 i 41) o zjeździe orientalistów w Lejdzie. Siedziwy prezes kongresu, teolog Kuennen, zganił tam nas słowami: „do widzenia w Wiedniu;“ jakoż zgromadziliśmy się znów w 27 września w tej samej prawie liczbie i w tym samym celu nad Dunajem; tylko Kuennen nie mógł dotrzeć słowa z powodu niedrozdwa.

Nie przybyło wielu też innych: jednego śmierć zabrala, innym znowu różno zawady na drodze stały; wielu zapisało się na członków i składkę opłaciło, mimo że przybyć nie mogli. Z polaków do rzędu tych ostatnich ułożyli: prof. Baudouin de Courtenay, hrabiowie Dzieduszycki i Konst. Przeczdzicki; byli zaś obecnymi: profesorowie krakowscy Sokolowski i Straszewski, przyszyli ich kolega dr. Hanusz, Bron. Hirszbach z Warszawy, prawnicy od lat kilku nad sanekrytem w Wiedniu i niżej podpisany.

Starulem się w *Kraju* (n. 40) dać wyobrażenie o przebiegu dzieł, że tak powiem, towarzyskich kongresu; więc, ażeby się nie powtarzać, wylizuję tutaj najzasłuższych członków jego i wrzucę uwagę czytelnika na najważniejsze ich wnioski i odczyty naukowe.

Rozpoznamy od przyjrzenia się całemu gronu na pierwszym posiedzeniu, w pysznej auli nowowzniesionego uniwersytetu.

Dwie trzecie twarzy znajomych z Lejdy. Trzy lata nie zmieniły tak dalece fizjonomii: troszkę starsze, troszkę więcej osiwałe i przygarbione, ale ryzy to same i nawet ubrania mało zmienione.

Ten niski, trochę przygarbiony pan, z krótko przyszytą spawkową brodą, w modnym fraku i ze złotym jakimś orderem na szyi, to sławny Guimet, założyciel jedynego w świecie muzeum mitologicznego, które się obecnie przenosi z Lyonu do Paryża. Mówi mi, że zbory swoje w ciągu lat trzech prawie podwoił; a ja mu udzielam wiadomości, że *Wędrowiec* warszawski świeżo wydrukował przedkład opisu podróży jego na wschód; bardzo go to cieszy, pierwszy raz się o tom dozwaduje.

Ten brunet z zawieszonym wasom, to dyrektor muzeum Guimeta, pan Milloué, który przywodził odczyt o religii dajnow, łączącej w sobie zasady bramanizmu z buddyzmem.

Powszechną ciekawość budzą dwie figury orientalne: profesor z Puna w Indyach, rodowity indyjanin (mówiąc nawiasem — wygląda na istnego cygana węgierskiego), ubrany mniej więcej po europejsku, nawet w okularach, ale na głowie dżwig białej turban, a ramiona przykrywa sobie długim białym muslinowym zawojem; nazywa się Bhandarkar; będzie miał parę odczytów

o zabytkach sanskryckich, ułożył odę w tym języku na cześć kongresu i przez cały czas pobytu swego w Wiedniu będzie przedmiotem ciekawości gawiedzi ulicznej. A tam znów, w pierwszym rzędzie krzesła, stały przy stole przydalnym, zasiada syn pustyni, książę arabski, w stroju narodowym, z obliczem jakby wziętem z jakiegoś obrazu biblijnego: to szeik Fathallah, inspektor studyów arabskich w Egipcie; przybywa prosto z Kairu; na ostatniemu posiedzeniu przeczyta a raczej odpowie kasyde okolicnościową po arabsku, która słuchające zawzięcie będą oklaskiwać, choć jej nikt nie rozumie, nawet zwycięzajni i nadzwyczajni profesorowie języka arabskiego.

Oto parę z niej wyjątków (według tłumaczenia, podanego w dziennikach):

„Jakże pięknie jest przybywać z dalekich krajów i jakże wspaniale jest kochaćemu po długiej rozłące.

„Lzy gorące tryskają mi z oczu, a czuwanie noce zaoferowały powieki moje.

„...Do ciebie spieszyłem, o wiesz, ty ukochana, by z tobą w słodki związek wstąpić.

Wszystkie mioty ludzkie są daleko fałującem morzem.

Zywot ludzki nie dość trwa długo, by mógł głębiej jego zbadać. Ale zaszczytnym jest usiłowanie spróbowania sił swoich w tem badaniu.

Arabowie w różnobarwnych muskach języka swojego znajdują mnostwo perel drogoceńszych; blask ich zaćmiwa skarby innych narodów.“

W ostatniej zwrocie zawiera się na grze słów arabskich ukłonny komplement dla cesarza Franciszka Józefa.

Podczas trwania zjazdu, jeden z dzienników wiedeńskich zamieścił odpowiedź na tę kasyde, w narzeczu gminu stoicy; nazywa się ona „Antwort-Kassidol wielmożnemu Fathallah von Hamza;“ powiada ona, pomiędzy innemi rzeczami:

„Nie dziwimy się, że ci się Wiedn podobał: tyle w nim jest orientálnego! Masz tu na ulicach pełno piasku i kurzu pustyni; wzywaj rzeczek naszej (Wion) zmuszają cię do kichania, jak narecyz wschodu; masz tu i bazy, dziesięcio i dwudziestogorajowe; wina ci wprawdzie pić nie wolno, ale nasze, wiedeńskie śmiało spożywaj, bo w niem nie ma ani kropki soku z jagody; zjadniesz u nas senniki egipskie i taką samą w nie wierę, jak w twej ojczyźnie; lecz jeżeli u nas zostaniesz, to wiedz, że język arabski nie na wiele ci się tu przyda: wynucz się lepiej któregoś słowniaka, to dziś u nas wszystko znać.“

Ów brodaty jęzowosć, z kilku zagranicznymi orderami na piersi, zdumiewa nas tem, że przemawia do nas po polsku i to bardzo poprawnie: to profesor Hasdau z Bukaresztu; na jednym z ostatnich posiedzeń przyjmie udział w rozprawach z węgrem Hunfalvy o początku języka rumuńskiego. Przemawia do nas również po polsku profesor wiedeński Dawid Miller; urodzony w Galicyi, mimo że ja bardzo dawno opuścił i polskiem nie jest, moją nasej nie zapominał. On pierwszy zaczął wykladać gramatykę porównawczą języków semickich i tem sobie rozgłos zjednał.

Uwija się ze dwudziestu japończyków, we frakach, okularach i z białymi krawatami: ilny a plus d'Asie! Ale ocy wszystkich zwracają się naślicznego chiniezyka, w stroju narodowym, a długim warkoczem i w pantoflach; to sekretarz poselstwa chiniejskiego w Paryżu, autor znanej książki francuskiej o Chinach, Csong Kitong; młody jęzowosć odcwilek, przystojny, o słonych czarnych oczach; wyraz twarwy dowcipny i inteligentny; mówi wbornie po francusku; na obiedzie orientalistów, po obfitych libacjach, gdy zaczęto mówić wygłaszać, nasz chiniezyk zabrał głos i

i tak ręcznie a dowcipnie przemówił, że zakasował wszystkich oratorów.

Tam za stołem przydalnym zasiada po środku arykański Rajner, protektor zjazdu i wogóle badek Wschodu, właściciel niemiernie ważnego i ciekawego zbioru papirusów, nad którego stopniowem ogłaszaniem pracuje cała rozsa uczony, pod przewodnictwem profesora wiedeńskiego Karabaczka (ozacza tylko z nazwiska). Obok arykańskiego, z prawej strony siedzi bardzo wysoki, przystojny i wcale młodo wyglądający Gautsch, minister oświaty; z lewej, przewodniczący zjazdu, były minister handlu, orientalista, baron Kremer. Obaj głos na wstępie zabierają; pierwszy w krótkiej przemowie podnosi znaczenie Wiednia w dziejach styczności Wschodu z Europą i oddaje hołd pamięci Monińskiego i Hammer-Purgstalla; drugi mówi długo, po francusku, szkicując historyę studyów orientalnych i rozwodzi się nad wpływem handlu ze wschodem.

Dwóch panów góruje wzrostem nad całym gronem: jeden z nich — to znawca chiniezy, von der Gabelente, a drugi, bohater zjazdu tegoroczanego, profesor Naville z Gienewy, egipctolog, wydawca „Księgi zmarłych“ egipskiej, obspany zaszczytami i powszechnem uznaniem za to wydawnictwo.

Wysokimi, choć w innem znaczeniu, są nieobecni, ale wpisani do listy odcwilek: cesarz brazylijski, król szwedzki, arykca. Karol Ludwik, chodwy egipski i książe Filip koburcki.

A oto rozproszeni po sali, mniej lub więcej głośni: hr. Landberg, wysłany przez króla szwedzkiego z wdzieczniam przez kongres przyjętem zaproszeniem na nowy zjazd w r. 1888 do Sztokholmu; Dworak, młody docent arabszczyzny z Pragi; Vambéry z Pesztu; Dumichen, Ebers, Hommel, Hübbschmann, Roth, Weber, Windisch z Niemiec; Darmosteter, H. Derenburg, Feer, Oppert Jul., Schefer, wysłaniec instytutu, wszyscy z Francji; panna Amalie Edwards, zajmująca się egipctologią, Cust, Temple i wielu innych z Anglii; z Włoch stary i kulawy Lignana, który znał Mickiewicza i kilka słów po polsku do nas przemówił umie; z Holandji cały szereg pilnych orientalistów, z Pleytem i Tieleman na czele; kilkunastu wreszcie z Ameryki, Egiptu, Turcyi i Indyi.

Jak się bawiono u ministra Gautscha, u arykcy. Rajnera, w ratuszu, na wspólnym obiedzie i podczas wyliczki na Kahlenberg, o tem pisalem w *Kraju*. Wspomnieć tu jeszcze wypadu o odczytach i wnioskach, które najwięcej uwagi zwróciły.

Kongres podzielił się na pięć oddziałów: arabski, semicki (oprócz arabszczyzny), arykański, afrykański (właściwie egipski) i azjatycko-polinezyjski (właściwie eranio i wschodnio-azjatycki w połączeniu z malajsko-polinezyjskim). Każdy z oddziałów miał swoje biuro i oddzielnie zasiadał.

W oddziale arabskim baron Kremer miał odczyt o finansach za Haruna al Raszyda, bardzo żywcie przyjęty; Goldziher prawił o rodzie Almohadów; jeden z arabów egipskich mówił o gwarach ludowych w Egipcie: holender Snouck Hurgronje, składając swój „Zbiór przysłów mekkahskich,“ objaśnił układ i znaczenie dzieła swojego; Jakub Artin Basza też uczynił, przedstawiając „Dzieje prae-instytutu egipskiego“ przez Vidala Beja; Hommel odczytał przyczynek do badań nad legendą o Jozafacie i Barlamie, zawierającą, pod firmą dwóch świętych, podanie o Buddzie; Ruohad Efdandi wyłożył dzieje oświaty w Egipcie w ostatnim lat tysiącu; Karabaczek mówił o wnioskach paleograficznych, powziętych z zbadania papirusu arabskiego arykcy. Rajnera.

W oddziale semickim rozprawiano o gramatyce babilońskiej (Bosold), o formie li-

ryki hebrajskiej (Ball), o brzmieniach s w semityzmie (D. Müller); Strassmaier okazywał kopie napisów Nabonida, których część postanowiono wydrukować w aktach zjazdu; na wniosek Noldkego i D. Müllera, uchwalono popierać wydanie krytycznego tekstu Talmudu, na żądanie tegoż Müllera i Patkanowa z (Petersburga), postanowiono prosić rząd rosyjski o systematyczne gromadzenie napisów klinowych za Kaukazem i o popieranie zbierania takichych w Armenii tureckiej; wreszcie mówiono o nowo odkrytych napisach nestoryjskich i klinowych, oraz słowniku aryjskim Fryd. Delitscha, który właśnie się ukazał.

Oddział aryjski, jakkolwiek licznie reprezentowany, nie odznaczył się na zjeździe tym żadnymi odczytami doniosłego znaczenia. Zapowiedziano przekład praw Manu (Jolly) i innych zabitych sanskrytych; nieczono stuletnia rocznicę urodzin anglika Wilsona, który w swoim czasie wielkio położył zasługi w badaniu sanskrytu; zajmującym był wykład Hunsfalvego o początku języka rumuńskiego; każe on go szukać na południu Donaju; kapitan Temple z Indji zapowiedział ogłoszenie zbioru przysłów hindustanskich nieboszczyka Felloona; złożono pracę Dillona o Awesice; kilka osób mówiło o działości; uchwalono zachęcać do gromadzenia zasobów do gwaroizmatywa indyjskiego; porobiono kwestye grammatyczne języku wędw; stwierdzono niepowodzenie ułożenia jednostajnej transkrypcji sanskrytu; polecono rządowi angielskiemu kandydata na posadę epigrafisty w Indjach (Kielhorn); rozprawiano i trochę się sprzeczano o pochodzeniu cyganów, a raczej ich języka; nikt dziś nie wątpił, iż jest on narzeczem sanskrytycznym; chodziło tylko o to, którego mianowicie; przy tej sposobności podniesiono zarzuty Miklosich, który zebrali ogłosił bardzo wiele materiały, służących do badania mowy cygańskiej; udzielono wiadomości o nowo odkrytych rękopismach indyjskich; Hanusz miał zajmujący odczyt o języku ormań w Kutach (pisał już o tem w tomie XI Rozpraw Akademii krakowskiej); Winternitz z Wiednia mówił o cści zmarłych uindoeuropejskich; prof. Hasden rozbił arzywoły tureckie w języku rumuńskim; prof. Straszewski podniósł konieczność nieograniczenia początkowych dziejów filozofii Grecyą i wskazywał potrzebę szukania ich w Chinach i Indjach; odczyt ten przyjęto bardzo żywcie; na zakończenie Bhandarkar wygłosił recitativo sanskryckie, wiersz na cześć zjazdu.

W oddziale afrykańskim zajmowano się przeważnie Egiptem, chociaż mówiono także i o językach innych części Afryki. Zajął bardzo odczyt Eisenlohra z Heidelberga o papirusach, prawychcy o naruszeniu grobów królewskich; kilka osób dotyczyło stosunku żydów z Egiptem, według podanych biblijnych i egipskich (Whitehouse, Krall); najwięcej zająca budził wykład Navilla o wydanej przezeń „Księżce zmarłych“, wkhładnie jako wykazy do grobów, a zawierającej wskazówki, co i jak ma mówić i ożnić dusza zmarła na tamtych świecie, szczególnie w pierwszych dniach wędrowki, gdy się spotka z pałetrą niebieską, a raczej piekielną. Panna Edwards zachęcała do pilniejszego badania zabitych egipskich, będących własnością osób prywatnych i muzeów prowincjonalnych, szczególnie w Anglii, gdzie, jak to przykładem dowiodła, znajduje się mnóstwo ciekawych pism i napisów.

W oddziale wchodnio-azjatyckim i polinezjyjskim Cuszt z Anglii polecił odczytać rozprawę swęj o obecnym stanie znajomości języków Oceanii; Terrien de Lacoperie mówił o językach w Chinach przed chińskimi i pokazywał pierwsze arkusze obzernej swej pracy o monestach azjatyckich ze zbioru Muzeum brytan-

skiego; przedstawiono kopie i objaśnienia różnych napisów chińskich, oraz zbory słownikowe narzeczy malańskich.

Wszystkie te odczyty wyjdą w ciągu lat dwóch w Aktach kongresu; tymczasem najogłośniejszą tylko treść ich podać można, bo nie były czytane w całości, dla braku czasu; sześć dni bowiem załedwie wystarcza na podanie ich w najkrótszym streszczeniu i przeprowadzenie dorywczej tylko dyskusyi. Cel i zadanie zjazdów naukowych wogóle, a oryentalistów w szczególności, zważywszy rozmaitość i mnogość zajmujących ich przedmiotów, polega nie tyle na wysłuchaniu odczytów, ile na wskazaniu najpilniejszych zadań i zamiarów, oraz na osobistem zbliżeniu i porozumieniu się członków, które znakomicie się przyczyniają do podziatu pracy naukowej i wzajemnego udzielenia sobie najświeższych odkryć i poglądów.

Wkrótce po zjeździe wiedeńskim, 10 października, zgromadzili się w Eisenach dwa stowarzyszenia pisarzy niemieckich i uchwaliły złać się w jedno, pod nazwą „deutsche Schriftstellervereinigung“ (okropny ten wyraz na to chyba jest wynalazek, żeby zaimportować długoszytą swą i symbolizmem wyrażał ilość bohaterów pióra i atramentu w Niemczech); odhodził onowu zjazd za pół roku i wówczas okraże, czego pragnie i co zamierza. Tymczasem godnym jest zanotowania szczegółów, że do komisyi stowarzyszenia, złożonej z dziesięciu osób, wybrano obecnie i postanowiono wybierać zawsze na sześciu mężczyzn trzy kobiety.

Jan Karłowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

RENAN W DRAMACIE.

„Byłbym w rozpaczy, gdybym musiał przebywać ten okres załedwie piętna, gdy człowiek, co miał siłę i męstwo, zostaje tylko cieniem samego siebie i ku wielkiemu uciesze głębowi burzy życie, które z takim trudem zbudował.“

Réna. Wspomnienia z dzieciństwa i młodości.

I.

Tak powiada największy humanista wieku, przewidując, jak gawiedź kłerykalna, u kosa śmierci cychałabędzie na wyznania kłamieje jego godlom; protestuje on zawczasu przeciwko słabości, którą rozmięknęły przez starość mózg, musi go kiedyś wypowiedzieć lub okazać.

To jedynie miarę głębi przekonanania stojuje do każdego człowieka, można nałodzić pojęcie byłego somnaryzmu z Tregnier. To mówi nie zwyczajny szermierz awolbnej myśli, ale człowiek stworzony do księży saturny i wydaty kościolowi tylko potęgą wiedzy i prawości.

Gdy więc takie usta przemawiają, słucha się ich z namaszczaniem. Podobną uoszę duchową sprawiają one miłośnikom swym już po raz drugi w tym roku — nowym dramatem p. n. *Księż z Joure*.*

Od pewnego czasu autor *Początków chrześcijaństwa* nadaje swym wywodom formę poetyczną, twierdząc w przedmowie do *Kapłana z Nemi*, iż „w dzisiejszym stanie umysłowym dyalog to jedyny sposób wykładania pojęć filozoficznych“, albowiem „prawdy tego rodzaju winny być pokazywane ze wszystkich stron, zarówno słabej, jak mocnej“ i nie mogą „ulegać ani stanowczemu potwierdzeniu, ani zaprzeczeniu.“

Alto to jeno skromnaś pianańska tak szepce. Suche rozprawy Platona, pomimo iż Renan na nie się powołuje, nie mają

nie wspólnego z jego obrazami, pełnymi wznieśłego polotu i nieopisanego czaru. *Renan memoria* przypomina mi jeszcze trochę gwałtownymi odskokami od osnovy; są tam różne postacie, niepotrzebne wcale dla akcyi, ale streszczające z wyraźną intencyą prozaiaka czynnik upadku państwowego: „samolubstwo możnych, głupota tłumu, bezsilność ludzi rozsądnych, podłość kapłana obłudnego, niemoc wolnościymyślnego, przeniowieństwa miłości dla ożojny“, słowem wszystkie fary, co pracowaly nad wyprzedzeniem narodu. Lecz ponad tą z górą i na trzeźwo obliczoną grą żywiołów zgubnych, unosi się poetyczne technionie męczeństwa, przenika go niepochwytany orok ziemi łaknięcej i dawnej naiwnej wiary w bogów. Antisios, bohater tragedyi, to typ wznięsły, jak sama idea Chrystosowa, to wcielenie świadomości cierpienia i katuszy dla tryumfu wyższych pojęć. Pragnie on znieść okrutny zwyczaj zabijania poprzednika, będący głównym warunkiem prawego państwowości wлады duchownej, lecz przesładowany przez tłumacze i przebiegłych arystokratów, ginie z ręki zbrodniarza, który lepiej do upodobania słegoemu motłochu przypadł. Z nim idzie w grób szlachetne apostołstwo, ale i sama Alba pada u stóp tytana — Rzymu, na którego zmierzają się było nad jej sity. Pozostaje piękna Sybilla, natchniona przez zmarłego odwaga i poświęceniem dla prawdy. Mści się ona za śmierć świętego bohatera, rodakom wróty rychłą zagląda i zwiastuje przybycie od wschodu tajemnej a potężnej idei, która poprowadzi prociwta, a która zapewni zwycięstwo dobremu nad złem.

Takiej otuchy na przyszłość nie daje nam jednak przebieg dramatu. Tam góra góra dątkie instynkta masy, której za mało ludzkiego mięsa. Ekalnie ona ofiar i ofiar oraz wieje; jak zwierz obliźnie się wsiockie, trawiona niepoohamowaną żądzą krzy bratniej i wierzy, że to bogowie z Dyną na czele domagają się haraczem z ciał alban-skich. Chociaż więc Carmenta zapowiada królestwo boże, chociaż autor poeioza wiara, że postępie idzie religijnych i moralnych zyska w końcu przewagę, a światło, pomimo przejściowych goryczy i zawodów rozproszy cienie, jednak nadzieja nie wyromuowana, rzekłbym sztuczna, bo ożywiecie zgon Antisiosa ażydł z niej.

Tak więc *Kaplan z Nemi* jest w gruncie rzeczy objawem pesymizmu. Drgają w nim jeszcze odgłosy walk, które przechodził poeta-myśliciel; wieje zaś ponury nastroj, w jaki na zawazo, zdawało się, wprawił go przełom własnej natury, pośaganie ukochanych od niemowlętych wierzeń i złudzeń i nowy sojusz z duchem czasu. Rdzeniem opowieści jest smutne postanowienie reformatora, który nie mruży oczu przed mierzem fantayki, nie lęka się niepowodzeń, lecz pod pulkierem wiary w swoje postanowienie, męcznie idzie na spotkanie śmierci, niezachwiany ani na chwile, nie słabnący w energii. Tak pojmuje obowiązki istot wyjątkowych Renan — i mielibyśmy prawo domyślać się w losach bohatera osobistej jego wiary. Toż i on pora się już lat kilkadziesiąt ze złą wolą, zabobonem, przesądem, intrygą i mrokiem. I on bolił nad niemi i za chłob podawany świntu, odbierał wdzięcnosć kamioną; owangielicze jego zasady wyszydzone, krytykutowano a piekielną ilością aż po dzień dzisiejszy, kiedy nauki Ganea, uosabiającego w dramacie pierwiastek lotrowski, ogłaszały za własny jego pogląd. (*Préface de Nemi*, IX, 87—84).

Księż z Joure jest wyrazem nowozgrodz wroztu w filozofii Réna, a zarazem głośnym hymnem na cześć pogody i ziemskiego szczęścia. Pośepna zaduma snika, a miejsce jej zajęła promienna jasność ducha, jak gdyby burza i zwątpienia skryły się na dno duszy, zostawiając gładką i prozoczną powierzchnię. Niby w kry-

*) *L'Abbe de Joure*, Paryż, 1886.

szale, załamują się w tym utworze smugi słoneca wszystkimi barwami tęczy i ograniczają czytelnika świeżością odmłodnionego przepydo.

Księżniczka z Jouvare jeszcze bardziej zbliża się do formy poematu sentenckiego. Akcja toczy się pełniej, osobistości poruszają żwawiej, efektów wstrząsających znacząco więcej. Zresztą mniemam, że tkwiące w nich ciepło da uczuć wyraźniej skróconą treść.

Jednej z owych czarnych chwil rewolucyj francuskiej, kiedy to głowy jak siekacze spadły z pod gilotyny, w więzieniu do Pleasie czekała na wyrok straconia garstka patryjotów. Jeden z nich, hr. d'Arcy, z osobliwym hartem roztapia się z ziemią i nie słorzęczy, wzorem towarzyszy niedoli, kłom. Kłatywa La Fertégo, który zżyma się na tyranię i co chwila wybucha pogardą i jadem, obraża sędziów mianem małp, bydła, nędzników i całym słownictwem pochiebnych przezwieków — nie wzruszają go. Jest to jednostka wyższa nad płktyk i gniew i nie spodziewa się gadatliwoscia ulżyć zbiedzonemu sercu. Czuje on, że przez szlak ruchawki społecznej przemawia wyższą sprawiedliwość dziejową, że to nie swawola rozbestwionego popołostwa, ale walka na śmierć i życie o prawo, wydatne przemocy, przeciw uciwkowi, w którego jarmie tyle wieków kraj jego jeżał, że to dalszy ciąg tej samej roboty, którą niedgdy przodkowie jego rozpoznali. Gotów jest ciszyć się, jeśli partya buntu zatrzymuje — bo będzie miał dowód, że jej standard na to zasługuje. „To, czego pragnielimy, czemu poświęciliśmy życie, rozgrywa się bez nas i wbrew nam, a jednak trzeba nam przykładać. Niebłagany porządek rzeczy gruntuje słusznosc z pomocą krzywdy, zapewnia postęp rozumie przez barbarzyństwo.“ Podniosła wymowa idealisty zjednywa nawet dumnego La Fertégo.

D'Arcy ma jedno tylko życzenie: schować z padolu, chciałby poraz ostatni uściśnić drogę ma osoby. Nieba zlotowały się nad nim: Niebawem wprowadzają na dziedzińce, jako kandydaci do szafatu, kobiety, w której zdumiony poznaje ubóstwianą kochankę. Bógwie ku niej, oozom własnym nie wierząc, i wita radośnie, lecz ona łagodnie acz niekłomnie go odracza, nie chce u progu wieczności brukać czystej duszy pokusami. Nieszczęsny młodzieniec koraży się przed tym majestatem niewinności, odchodzi i szuka ujęcia dla wezbranych uczuć w rozmowie, z której dowiadujemy się bliższych szczegółów o zagadkowej niewiście.

Godną jest ona oziół balwochwalej, jaką ją d'Arcy atakował. Powab ciała i podniosłość ducha nie mogły się na większe arcydzieło złożyć. A jednak życie jej nie zna uśmiechu, wyrzekła się jego rozkoszy i przywdziała nawet suknię mniszki, okłowiła ozło zaubawym welonem — nie dla tego, by zwiększyć zaściera klasztorne, ale na znak powagi i przejęcia się posłannictwem odrodzenia wiary. Mistrzem jej był Turgot, „najzupełniejszy“ oziwlek w historii Francji — jak powiada autor — ów wielki minister, który w tych samych murach, niedgdy przybytku wiedzy, a teraz rozdzielonych na celki więzienne, odebrał wykształcenie. On to, przybraawsy Julię za córkę, kate jej rzucił cześć formy dogmatów, twierdząc, że „nie mogłoby całe życie nosić maski na twarzy.“ Uśledziała go, stała się przewodniczką pokolenia, co „kiedyś będzie naszą“ narodu; obcuje z przednimi umysłami, zdobyła mądrość wieku i o tem tylko marzyła, by w religię wlać nowe soki żywotne, zacerpnąć z filozofii, by obdawnoł księciół na podstawach racjonalnych. Ale przyszła zawierucha i ją porwała. Nie ucieknie więc przed nią, nie zleknie się blysku straszego topora.

Taką jest dziewczina, zwana „kajenią z Jouvare.“

Gdy samotna tonie w rozmyślaniach i rozpamiętywaniu przeszłość, nagle jak maza z pod ziemi zjawia się d'Arcy. Chciałaby go przekląć, iż wkrada się w uroczysty dobie kładej jej myśli — ale niema męstwa i w niej oekłnie się na raz z całą potęgą miłości tłumiona. Daremnie wzywa na pomoc przewodnią gwiazdę swego życia, gorące prośby kochanka zmieknąją stopniowo upr, który znajduje już tylko podopór w dumie i godności. Namietuje słowa d'Arczego palą ją żarem, a bardziej jeszcze pokonywają jego uwagi. Zaklina ją na święte węzły miłości, na przebyte bóle, na grozę bliskiej śmierci, by poddała się rozkazowi natury, który świat i ludzie mogli by wprawdzie skrepiować obyczajem, ale który jest tworem nieokreśloności i w wrót jej odzyskuje swobodę. „Gdyby Bóg zesłał kochankom, co zamknięł oczy na zawsze, nie zakostnowawszy pieszczoty, jedną noc zmilowana po za grobem, czyż wyrzuciłby im, że zapelnili rozkoszą godzinę, którą ich ebdarżyło jego miłosierdzie? Takim jest nasze położenie. Miłość nasza niema jutra.“

A mówić to nie młodzik, upojony wonią powabnego ciała i apiący jak z rekawa sofizmaty, z których sam otreżwiawszy, drwi, lecz mąż przetrwający ogniem życia, myśliciel, brządzący się kłamstwem. Zresztą szczerość słów natchnionych jest nadto widoczna. „Ludzie nas zabijają, korażajmy z tego, ich prawa puste i korażajmyż nas już obowiązują nie mogą.“

Cóż dainwego, że taką bronią zmalował ostatnio skrupuły...

Tenaz chwile, jakie pozostawia czelej parze, były dla niej ciężarem. Tęsknia za mogiłą jak za cudnym krajem, którego przedsmak dał im uścisł miłosny. Wkrótce też posowie śmierci nadchodzi i zabierają z sobą gromadkę skazańców, a z nimi d'Arczego.

A Julia? Została. Na łiscie jej nie było. Okropna pomyłka czy sztyderstwo losu, wykryłoby z niej nagle imię „księżniczki z Jouvare.“ Nie pomogły łzy, wybuchy rozpacz, błagalne prośby — skazała ją na zeznacie. Ludziska otaczający dziwili się temu głodowi nieości, ale nad poradzić nie chcieli ani umieli. Przed złowrogą uratowaną stała się teraz droga łez i hańby. Komuż ją zawdzięczyć ma?

Dzielnemu żołnierzowi, nieznanemu bohaterowi wojny ze sprzymierzoną Europą. Za czyn sławne i waleczność rząd go wyróżnił i na znak chwały obiecał spełnić najwyszukanasze pragnienie. Młody rycerz zna oddawna wnosiół meczennicę, modlił się do niej zdaleka jak do patronki, więc widząc dole jej oplakana, poprosił o ulaskawienie — i przychyłono się.

Kiedy wstąpi do celi oznajmił nowinę, jak mniemał radosną, a jak się przekonał okropną — osłupiał przed tym ogromem cierpienia. Przyjeździ ozi najgłębszej, miłości najczystszej, nie mogły Julii skłonić do zgody z przeznaczeniem: pozostała głazem. Uśledwała sama pogonić za śmiercią, ale napwół już zduszoną straż ooculi i przywróciła do życia. Nowy wylew żalu zwabił jednego z współwięźniów — kapłana, który nie raz już alyszal o onotach „księżniczki z Jouvare.“ Niemialo choć serdecznie przystępuje on do dzieła pociechy. Prostota i głębokim współczuciem udało mu się wymódł spowiedź i jak balsamem czerodziejskim ukoić szarpiały ból odwołanie się do przyszłego macierzyństwa i wdęczeń, które okupia jej winy.

(D. n.)

TAJEMNICE „ŚMIETANKI.“

II.

Wypadnie chyba, że reszta szacownego personelu znalazła się „na roztajnych dro-

gach“ — alez bynajmniej. Wszystkie prawie kobiety i mężczyźni mają tam cel jasno wykinyty: rozpustę, nikczemność, zdradę, dumę niepokonaną i wogóle nie siedm, ale siedmset grzechów głównych. Nikt się tam nie zaważa ani przed skłamaniami, ani przed podejściem, otruciem, uduszeniem etc. etc. Wszyscy, prócz nielicznej garstki znanych nam bohaterów, którzy mogłby powiększyć jeszcze tylko lekarz Salm, wspomniany sultan, zwany Grafem Kozakiem dla swych molojeckich upodobań i parę komparów, stanowią jedną szkołę, jedną grupę, przegrznięną do szpiku kości przez radez występku. Autor ładu się grubo, przeciwstawiając nauki socyalistycznej atmosferze duchowej, otwierając osobna mózgi postów i literatów różnych odcieni. To nie *rośne drogi*, ale jedny; Horn, to potomek, acz nieprawy, takich samych ludzi jak Sas-Przemysław, jeno wykształconszy, silniejszy, do rozbestwiony gorczyzą i zadróscia, tak samo gładki, wytworny i rycerski. Reszta obita podług jednego systematycznego szablonu, który sobie autor zawczasu przystosował.

Ostatecznie więc idea przewodnia romansu gdzieś się uleciła i daleko słuszniej uocynimy, jeśli jej szukać będziemy w paradyrystokratycznego życia. Szaletnaka towarzysztwa, owa najlepsza, najdelikatniejsza, ma się tutaj prawiżwie z pyznan. Niema lotrowstwa, któregoby szlachetni przedstawiciele „czyste krwi“ nie dopuszczali się. Autor z zaletczaniem maluje głębokio nieuctwo paniczów herboowych, ich wstręt do oświty, zbiegacę parę do wyścisgów, holdy dla tanecerek i wogóle ów cinsny zakres pojęć i wyobrażeń, który nadaje im, zwłaszcza na tle wielkomijskiem, pozór typowo-idyotyczny. To pewna, że z mężtem pisarza odslaniający tajemki „najwyższej sfery“, odczuwa boleś niezmierzna; rozrywa sobie łono, który ebniegi tuliło się do piersi owych hrabiów i księząt. Właściwie bowiem p. Sowiniekiego *credo* społeczne brzmi (str. 224 t. II): „prawdziwa arystokracja rodu, połączona z bogactwem i uświatniona wychowaniem, jakie tylko najwyższe sfery świata uprzywilejowanym istotom swoim daje są w możności,“ wżiera ono z zachwytem nad „jęcie królewską dystynkcyą państwa Włodzimierzostwa“ (str. 61, t. III). Rzeczywiście, autor w dodatkich typach daje *minowoli i bezwiednie* próbki tych tak cenionych przymiotów. Panna Berta, szczerza przyjaciółką Ksieni, równa jej pochodzeniem, sypie dwunastennikami, jakich używają tylko szanowności i kelerki w winiarniach paryskich. Mówi ona do Ksieni: „zasiedlamy ci łożo (ślubne) najpiękniejszymi różami, byłoby tylko ciakła, twego nie uraził kolez jako niedobry.“ Wylatuje do ogrodu i celnje się z Grafem Kozakiem jak pierwsza lepsza subretka, pragnie przezeń być „rozdartą“ (sic), zdycha w kapieł nie uczuwa wstydu, opowiada o kędziorku między ramieniem a pierśią itd. itd.

Odrzyna do kłeru jest już bardziej szczerą, „podsywa on pod płaszcz religijny... rozmaite stowarzyszenia pobożne i jalmucznicze, banki pod fałszywymi firmami... narzeczie cały legion oszustów.“

Za wszystkie te obrazy, za te galerye onót dwóch sprzymierzonych, którzy — należą się p. Sowiniekiemu duża wdzięczność. Tu wykazuje on prawdziwą znajomość rzeczy, archiwu sądowe nie mogłby lepiej poinformować o tajemnicach Sasowa i tym podobnych gniazd.

Za to wszystkie inne sprężyny akcyj, osobistości drugoplanowe, układ wypadków, charakterystyka pojęć i zwyczajów, ton w wybuylim nad wszelką miarę romantyzmie. Prawda i natura zostały podeptane, przyuczynowość i psychologia bez ceremonii wyrzucono za drzwi. Doktor Salm jest cudownym chirurgiem i psy-

chiałrą zarazem, Horn przepysznyim jeżdżeniem, znakomitym pijakim, niezmierznie uczonym. Biuro wywiadowe Horra *alias*, syn karczmarza, *alias* Ioeck, student niwersytetu, wyborową polozyszynę przepła- ta okrzykami „aj wuj!” Graf-Kozak ma cale stada arabów, hareem w namiotach. Pani Laia urządza „noco atonskie” z subatnem ifktolem wragiego rumka, ponczem i różnem nalewkami, orgie pospolu z dziew- cętami dworskimi zupnie na sposób rymaki, z Bachasem na beczce, bachantkami etc., a Horn w imieniu socyalistów uznaje to za „ideal społeczeństwa” (str. 216 t. I). On też nazajutrz po przybyciu przys- puszczu szturm do jakiejś milionowej księ- żnej — ex-klauzynie i obiecując jej tron w nieznanem królestwie, wyłudza w ciągu pięciu minut 100,000 rs. List Proudhon, i Blanco znaleźli się w księgozbiorze sa- wskim. Wszyscy tam są bajecznie piękni. Wo Włosech, dokąd autor, stęskniony za nie- obecnością, „przenosi dramaty i aktorów, słychać tylko huk wystrzałów, szcęk stali, brzęk kajdan, jak gdyby odżyły tam czasy Borgi, Orsinihi, Colonnów. Na mo- rzu jedyna Kescia nie dostaje choroby (szczęść idealizmu!). W Wenecyi państwo Włodzimierstwu stają w Alberga di Luna, a jest to skromny bardzo hotel, dostępny nawet dla ubieg podpijanego chłudpa- cholka.

Srodki malarskie p. Sowińskiego są do- dyś monotonne. Ale patos, w którym udo- rza diawna obfistość rymów ładnych, wkła- dających u sta bohaterom, jako improwi- zacya albo dowcip, nie zawsze smaczny. „Duch pychy i etykiety panuje” aż kilka- nastu razy. Bezustannie ktoś kogoś wy- ciga na brodnio. Wspomniama pretendentka do berla nazywa Armidę Harmatą, gdzieindziej znouwa Apollina ma za jakie- goś żyjnego Napolina, grupę Marforio w bladzie podaje za znajomego; Jonasa za Janusa. Nidoszły konkurent Kseni p. Sep mniema, że Żyrodna jest bohaterką romanu — takich efektów jest bixlika.

Widzimy więc, że szan. autor w swej powieści współczesnej zachował mani- erę „archywalną” wizerunek „psychiczny” jest przesadzony, tendencyjny i tak tem- zniechęcił i znuył czytelnika, że rozcioka- wienie, towarzyszące pierwszemu to- mowi, przechodzi w dalszym ciągu w cierpli- wość i wytrwałość. Minęło już upodobanie do *Tajemnic Londynu*, *Paryża*, *Syna szatana*, romanosw Gaboria itp. fantazyj — a od nich bezspornie zapożyczona została le- pina, w której autor samkąt swą szoroko- mozo odczuł i uplanowaną, ale nader nie- umięjnie, niemal dziecinie, obrazowa- ną satyrę społeczną.

Wreszcie uwagę pedantów zwraca na barbarzyństwo „dotonacza” (zam. lub.), „do- dyć z was” (str. 27 i 36 t. I), „suma wyre- czona z przędzy”, „necni nie rozpoznają doioć” (str. 12 i 42 t. II), oraz kilkanaście innych.

N. H.

KARTKI ESTETYCZNE.

IV. Poetyza bezpicioła.

Było zwyższaniem — lat temu dwadzieścia czy trzydzieści — nazywał Deotymy „wiesz- czka”. Nazwa ta oznaczała coś więcej niż talent poetyczny, przynależała bowiem pan- nie Jadwidze Kuszozewskiej dla wieszczko- nia, to jest: jasnowidzenia i prorokowania. Proroktwa naszej poetki nie są szane, przynajmniej literackiemu światu; jasno- widztwo jednak znajdować ma swe po- twierdzenie w obzernym utworze poet- ycznym, zatytułowanym: *Polska w pieśni*.

Część pierwszą tego utworu wysłał w r. 1860. Mieszcza się w niej: „Wojna obrzy- mow.” „Wyszy mir” i „Dwanastu wojow-

dów.” Trzy te fragmenty są trzema prze- cieżnieniami — bajkami. Zwłaszcza fanta- styczna opowieść o miłości Wiesławy i Wy- szymira skrzy się bogactwem obrazów, podziwiających świętość kryształów „lo- dowych”. Cały ten fantazmat mieni się ślapiami barwy, jak zorza płożnoca, ale też, podobnie jak zorza, nie wytwarza ani ciepła, ani myśli, ani warzenia...

Część druga *Polski w pieśni* ukazała się w dniach ostatnich i zawiera poemat dra- matyczny w pięciu aktach, z prologiem i epilogiem p. n. „Wanda.” Poematem na- zywa ten utwór sama autorka — nie tajao- wszakże jednocześnie, iż widzi w nim ży- wioły prawdziwego dramatu. „Wanda” — pisze ona — w takim kształcie, w jakim się obecnie pojawia, nie może być graną na teatrze, dla swoich zbyt obzernych roz- miarów, ale zdaje się, że wewnątrz jej bu- dowa nie sprzeciwia się w niozem war- runkom scenicznym.” Jest to wszakże tylko autorskie złudzenie. „Wanda” na de- skach scenicznych byłaby rodzajem dekla- mowanego baleta, który nadmiarem dekla- macyi, a brakiem urozmaicenia, znuyłby widza — tak samo, jak obecnie, w formie książkowej, nuy czytelnika.

Bo przedewszystkiem czytelnik tu po- zbawiony jest najgłośniejszego magne- su, zespalkanego z utworem literackim, a mianowicie owej ciekawości, która wyraża się pytaniem: „Jak się to skończy?” Któż w Polsce nie zna losów „Wandy”, co nie chciała nieomal...

Poniowaz w zawiązaniu węzła drama- tyzowanego wyreza autorkę legenda, po- staje więc jej tylko ów popis jasnowidze- nia, zaszczepający się na plastycznym odtwo- rzeniu opoki, którą kronikarze lekkimi tui- tui skłójący zamiankami.

Jestżo ta opoka wiernie odgadniona?

Trudno na pytanie to odpowiedzieć twierdząco.

Idee, w imię których główna bohaterka Deotymy walczy... ze sobą, noszą datę nie VIII-go, lecz XIX-go stulecia. O tak zwane „prawa kobiety” nie kłopotano się z pe- wnością za czasów Krakusa i Wandy. Poet- ka chciała przez takie rozszerzenie inten- cyi wzmocnić postać Krakusowej córki, tymczasem ją osłabiła. Postacie legendo- we odznaczają się prostotą i jednolitością; dodawać coś do nich, znaczy psuć je. Gdy- by w poemacie wyłączna podbiła bohater- stwa „Wandy” była miłość ojczyzny, bo- haterstwo to stałoby się o wiele potężniej- sze i silniej na czytelników działało. Ale zimnym na pozostanie wobec słubów czysto- ści, składanych przez bohaterkę przed Dsiawoną i wobec szumnych a beztref- nych zaklęć Wandy:

Zaden śmiertelnik serca mego nie otrzyma —

Sprawnia kłębion (?) to serce bez zmyły połwiec...

Legenda nie mówi o miłości Wandy dla Rytygiera, ale poetka przedstawia nam polską widozynie zakochaną w niemiec- kim księciu. Bez tego nie byłoby „drama- tyzowanego poematu”. Walka obowiązu- (słubu czystości) z uczuciem, tem silniej- szem, że tłumionem, stanowi óś dramaty- czną pięciu długich aktów oraz prologu i epilogu. Wątek to trochę za szczypliwy.

Dla wypienienia czesm, od siebie doda- nem, ogromne przestrzeni utworu, wpro- wadza Deotyma jednego jesożo miłośnika Wandy, Stanisława. Ale ten Stanisław, choć lechita, nie ma w sobie ni lechickie- go, jest on weclenionem okliwji miłości. Do królowej przemawia chwiliami tui le- kliwym szepceni, jaki ujęd może jedynie w ustach pnia, objawiającego swą dno- cinną miłość namiętną Maryi Stuart...

„Gdy nie jestem przy niej

Układam słowa rzewne...

Gdy wejdzie, oniemlewan, jak wobec bogini.

Jam zawsze z sercem śmiałem, usta mlał nieśmiałem...

... Z koronem czołem,

Nigdy jesożcie i kreja tywych szat nie dotykałem.

... Ból wplł we mlaie szpony.
Powiedz przynajmniej, za co jestem pogardzony?

Czytelnik, porównując to mla potaśd z rycerską swadą Wandy i jej towar- yszki, przychodzi do wniosku, że w spo- łeczeństwie, którego niewieścia połowa ma serca ze stali, męska musi posiadać serca... z galarety.

W ogólności, w całym tym utworze, na- turalny porządek rzeczy wywrócony jest na nio. Biologowie biją się, rządzą i są- dzą; męzowie, nawet tak z pozoru groźni jak Wywidab i Waligoro, porywają się tylko niekiedy do walki, ale po zamienie- niu kilku uszozypliwych przegryzków, chowają czempredę mizeo do pochow. W kobiecie Wandy trudno uwieryć. Jest to nie *virgo* ale *virago*. Poetka kładzie wprawdzie jej w usta retoryczne rozprawy na temat miłości, nie budzą one jednak wiary w czytelnika, który pamięta właśnie wyznacenie Wandy, dane jako odpowiedź posłom Rytygiera:

Strzełaste słowa — i celnie puszczane,
Jednak przez błachę nie wdary się w serce;

Na sojusz, zgoda; na przyjaźń, przystań,
Lecz o miłości nie mówcie rycerze.

... W pancernej nieścisłości

Tłóchości kadłom nie zbudnie zalcigłom.

Takimi twardymi rykami nakreśliwszy Wandę, pozabawiła ją poetka głównej siły sympatycznej i nie dopuściła do dramatu nawet możliwości szczerzych walk serdo- cznych. Zgola inaczej byłoby, gdyby w bo- hatero „panerna niewiasta” i kochajca dziewica przejawiali się *rodniemionami*.

Nagle tylko i krótkie błyski, podobno iskrom wyrzeczonym z krmienienia, doby- wają się chwilaami z tego serca stałowego. Należy do nich cudownie piękna modlitwa do Dzewanny o uwolnienie ze słubu:

Nieskalan! Przez wszystkie potęgi kochania,

Przez czar powiśla,

Dreszcz oczekiwania,

Rozpac połączania,

Achl przez inter i roztania

Zalilam ciebie!

Zapomniał o mlaie w twem ślonecznem niebie!

Jam na ziemi! — Ja choć ziemi,

Z radością! jej gorzkiem!

Cierpliwam! czarnowiem!

Za wysoko bęglił tron —

Tam niebo — gdzie on!

Jakże żalować trzeba, że latnia Deoty- my, na której, obok baweliwianych, są też i szczerolzone trony, nie odzywa się czę- stości takim szczerym, ludzkim głosem! Schyliłaby przed nią wówczas czoła najza- wzięt nawet przeciwnicy, a krytyka nie wahałaby się nazwać jej, nie „wioszczką” wprawdzie (Nostradamus pojawiający się dziś tylko w kalendarzach, a ioh siostry kładą kucharkom kabale na Dunaju), lecz prawdziwą, polską poetką.

Dotychczasowe jednak pieśni Deotymy chorują na pewną śmiertelną wadę, a mianowicie na brak tego, co się „plecia” na- zywa.

Nie choo ona, czy też nie może być pol- ska Safona, to jest: wyobrażać w poczyj pierwinstek kobiecości; a jednocześnie za- siabie ma siły, aby stanąć w jednym rzę- dzie z talentami mekimi. Stał, nawet po- ziemi stapijają, nie jest ona córką ziemi, lecz czesm niepochwytanym, z chłodnych myśli i zimnych barw ulepionym; czesm, do czego nikt nie będzie w możności prze- mówić „siostról” ani nawet — „bracił”.

Ten artystyczny *kryptogamizm* najwido- czniej występuje tam, gdy Deotyma seony miłosne maluje. Jest to malowidło po- wierzchowne, martwe, z gotowyw wzorów kopiowane, nieożywione i nieprzeżyte.

W seoniu XV aktu czwartego, słowik i skowronek, przysięgujący niby-arty- stycznym monologom Wandy, pożyczono są od Shakespearu ze słubnej nocy Roman i Julii. W innem znów miejscu, jedna

z ryceerek, towarzyszek Wandy, tak opisu-
je urok poaalunku:

Jak słońce w wieńcu skłaniają dwa kłody,
Jak w jeden puklerz trafiają dwie strzaly,
Jak słońce na kłociach łączy dwa płomienie,
Tak zwołana a niezwalenie
Usta się nasze spotkaly.

W strofie tej znajdują się trzy porówna-
nia, z których pierwsze jest zinnne, drugie
nietrafne, a trzecie dopiero doskonale. Ale
to trzecie... wieńcie jest od Schillera.

Zaprzeczając „Wandzie” wszelkich pie-
kności poetyckich byłoby niesprawiedli-
wością. Niema w niej mistrowskich sytu-
tacji, ale są mistrowskie obrazy. Kilka
luźnych piosen i hymnów stanowią, same
przez się, perły polskiej poezji (naprzy-
kład ta, którą śpiewa na str. 103 Plominie-
wa o wojnie i pokoju). Biorąc ochotę wy-
dobryć ją z monotonnych pisków tej pie-
ciostkowej pustyni i oddzielić światła po-
kazak.

I te kwiaty, które mróz na szybach ma-
luje, bywają piękne i wspaniałe; ludnie je-
dnak oddadzą każdej chwili bez wahania
to piękno i te wspaniałości za prostotę naj-
lichszego kwiatka — żywego.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Obraz świata umarłych. — Zabawa na „grobach.” —
Hymny. — Rzeźmieszkowie i niszczyciele mogił. —
Na 300 rocznicę śmierci Batorego. — Nicola obrzy-
mów i szczęście karłów. — Proces *Gazety lubelskiej*. —
Znowu obraz „dyfamacji”. — Dziwy w Narkutskiu ko-
miszarskiej. — *Wista* i p. W. Nalkowski.
— Dla nauki.

„W dzień święta umarłych i gwarniej, niż zwykle.
Szczególnie w tym roku, z powodu prze-
pyszenia suchej pogody”. — Poważki roły się
rozmaita ludność, która samą obecnością
swoją, ułożeniem się, najcięższą nawet
rozmową, musiała sprawić tumult, nie-
liczącą z cizą ementarną.

Ou ozas jakiś ktoś w tłoku nmlał...
Wyniesiono cztery kobiety szendlori,
a pięta, przewróciwszy się, zlamala prawą
nogę w biodrze.

Godna potępienia jest lekkomyślność
rodziców, wprowadzających w taki tłok
małe dzieci.

Osmioletni chłopczyca, omdlawszy, do-
stał krwotoku...
Szescioletnia córka państwa B upa-
dła na ziemię pośród tłumu... Gdy ją pod-
niesiono, nie dawała znaków życia i do-
piero po przyniesieniu do przyległej ba-
wary, zdołano doprowadzić ją do przy-
tomności...

Cały legion słabny ementarny i poli-
cyantów nie mógł przeszkodzić deptaniu
mogił, niszczoniu pomników.

Oto w głównych rysach nasz obraz
„świata umarłych”, nakreślony prawo-
wymyślnym piórem *Kuryera warsz.* Czytając
ten opis, powtarzający się z malemi zmi-
namami corocznie, pytacie może: czy podobna,
ażby boleść dziesiątków tysięcy serc
smutnych tak wzbierała 2 listopada, że one
muszą w tym dniu ją łzami wylać na mo-
gилch srod gwaru, ścisną, duszenia dzieci
i dorosłych? Czy podobna, ażby szersze
żale wyplakwały się o umówionej porze?
Nie, Zduszenie przybrzaja i na nas coraz
bardziej charakter zabawy, jak Zielono
światki na Bielanaach lub Wielkanoc na
Placu Unjadowskim, z tą tylko różnicą, że
są wesolem w kropic, tańcem na mogi-
łach, śmiechem, rozmazaniem swoje ciało
po grobach, które przez rok cały słyszą

jedynie skargi boleści. Karnawał daleko,
rozrywki w jesieni mało, czemuż więc
tłum chciwy igrzysk nie ma potoczyc się
szeroką falą na Powąski, zwłaszcza gły
„pogoda przypyszona — sucha”? Szkola za-
mieniona na szynk, koscioł — na ujeżdża-
lnię, sala sejmowa — na kózę — wszystko
to są widoki, z których wieje ku nam
zawsze uczucie przykre. Nie znam wszakże
w tego rodzaju przemianach objawu wie-
kszej ohydy nad ementars zgwałcenia dla
zabawy. Za to potulne i łagodne zwierze —
hyena stała się przedmiotem powszechnej
ostry. Rozwieszeni niszczyciele i gwał-
ciociele grobów nie są lepsi od hyen. Pisma
oburzają się, że podoba obchoła Zduszek
rozrzeszkowie podbierają kieszonkę „po-
bożnych.” Ależ to są gołębie w porówna-
niu ze swami ofiarami. Każdy z nas ob-
tynie rzekiby:

Pobożny przyjacielu, weź moją portmo-
netkę, tylko nie niszcz i nie zniewajaj mi
grob.

O, jak często człowiek nie wie, że stracił
prawo do gardzenia innymi.

Na 13 grudnia r. b. galicyjanie przygo-
towali pielgrzymkę do trumny Stefana Ba-
torego i obchód 300 letniej rocznicy jego
śmierci. Jeżeli w tym dniu będzie „prze-
pyszna pogoda”, nie wyprawcie sobie we-
seli zaduszkarsze uczty na Wawelu. Nie
znieważajcie przynajmniej tych prochów
gwarem kierzmasowym. Chociaż nad nimi
się pomodlić, albo przeżyć chwilę wapo-
mnieńmi przeszłości, albo nastroić swą
duszę żalobnie — idźcie, ale nie urządzaj-
cie igrzyska. Nie urządzajcie go, bo Stefan
nie wstanie i berłem swoim was nie ro-
pedzi, lecz pozwoli, ażebście brzęczeli jak
osy, które w starym szyszaku nwiły sobie
gniazdo.

Król ten stanął mi z innymi bohaterami
w pamięci, gdy czytałem w pismach
utyskiwania *Figura* nad niedolą pokazy-
wanego w Parzaju obrzymania. „Między
wszystkimi zjawiskami potwornymi” —
powiada A. Milland — obrzymania jest nie-
wątpliwie najbardziej potalowania go-
dem... Karla kobiety pieczęć, bustają na
kolanach, noszą w mufkach i stawiają na
stole. Może on wszędzie mieszkać wygo-
dnie w faterale lornetki teatralnej w bo-
mbonierce... A obrzymani Czy jest coś,
co bardziej każdemu stałoby na drodze i ce-
mu bardziej każdy stałby na drodze. Dokąd
pójdzie, zaważa wszystkim i wszyscy mu
zawadzają... Obrzymano wiodło się w cza-
sach bohaterów, gdy pod imieniem Ty-
tanów dokuczali Jowiszowi i bogom Olym-
pu. Dziś są to istoty najniebezpiecz-
niejsze... Jeżeli zaś niebezpiecznym jest
Winkelmayer, który tylko trzaskania przeszło
cztery łokcie miary, to cóż mówić o lu-
dziach wyższych od niego głową. Biedne
istoty. W nauce, sztuce, literaturze, polity-
ce — wszędzie zazdroszczą pieszonemu
karzełkom, które niewiele potrzebują miej-
sca, nikomu nie przeszkadzają i byle czym
się sąadowolnia. Przypuszczam, że każdy
obrzyman nieraz zażyczyłby maluczkim ich
wygody i miewa chwile, w których prze-
kлина swoje rozmiary. Świat stworzony
został dla karłów, kolosy są jego męczni-
kami. Prawda, Batory? Czytalem nie-
gdyś twoje listy, pełne skarg na malodu-
szną szlachetę — jakże w nich odbijała się
smutnie twoja wielkość Szkoła, że śpisz
snuć wiecznym i nie możesz słyszeć; po-
wiedzieliśmy ci o wiele ciekawych rze-
czy, z których przekonałbyś się, że obrzy-
mano dobrze — po śmierci.

Kary, dzierżawcy dobrodziejstw życia,
nie skardecie mnie o „dyfamację”, bo cho-
dzi mi nie będzie wolno powoływać się na
znanie świadków, złote dowody piśmienne.
Brak takich dowodów narażaj p. W. Da-
widę, redaktora *Gazety lubelskiej*, na zapla-
cenie 25 rs. kary. W piśmie tem wydru-
kowane korespondencye, zawierające ro-
dzajowy obrazek wyborów gminnych pla-
nawej osady, w którym na pierwszym pla-

nie występował pisarz „zarumieniony,”
a jego żona z butelką, częstująca wybor-
ców. Obrabany podał do sądu skargę o „dy-
famację”, to jest o przestępstwo, pozbaw-
niające obronę możności powoływania
świadków. Pogłoski, krążące około no-
wego kodeksu karnego, dotąd jeszcze nie-
wypracowanego, zapewniały, że żeń ma
być usunięty paragraf o „dyfamacji.” Sta-
nowi on rzeczywiście dokuczliwe kielcno
dla prasy i nie pozwala u nas rozwinąć się
krytyce publicznej. Korespondenci pro-
wincjonalni często dziwią się, czemu z ich
wiarogodnych doniesień redakcyje korzy-
stać nie chcą. Otoż hamulcem jest nie-
bezpieczna dyfamacja. Przypuszczam, że ist-
nność głośni pisarz gminy popelił naduży-
cie jawne i że jakaś gazeta je ogłosiła.

Wtedy przyspłynął nie skarty się o „po-
twarz”, przy której można uzasadnić słusz-
ność zarzutów świadkami, lecz o „znio-
sławienie”, które wolno popierać tylko do-
wodami piśmiennymi. Obcoziły więc
owo nadużycie dokonaniem było wobec mi-
lionów osób i wszystkie mogły zaprzysiąd-
zać — kodeks odcina redaktora od tych
świadków i skazuje na karę. Co gorza,
od redaktor w przekonnaniu ogółu, niema-
jącego przepisów prawnych, wychodzi
z sądu napiętnowany złamaniem oszcz-
rstwa, pomimo że ogłosił najwierniejszą
prawdę. Oto klucz do zrozumienia wielu
wyników spraw dziennikarskich, klucz,
który — mamy nadzieję — w nowym ko-
deksie raz na zawsze przepada.

Bez klucza możemy rozwiązać zagadkę,
czemu rząd pruski, nagrodziwszy ofiarami
panów, pragnących mu sprzedać swoje ma-
jątki, zwrócił się do chłopów polskich
i podobno dał im po 300 m, za móg. Kró-
tkie doświadczenie nauczyło komiary ko-
lonizacyjną, że jej złote granity ryć się
będą w mury twierdzy szlacheckiej, jak
w masło, ale od skały chłopiekiej odka-
kują. Tu tkwi opór, a nie w zwolnien-
kach zaleconych przez ks Bismarka „podró-
ży do Monsoo”, w niebezpieczna więc stronę
zwrócono działa nabite markami. Skut-
kiem tej zmiany kuracelotki gieldy germa-
nizacyjnej przedstawia dziśnawizjako;
móg ziemi chłopiekiej kosztuje dwa razy
więcej, niż takiej samej szlacheckiej; nadto
tam ciągly popyt bez tranzakcji, a tu usta-
wieczna podda bez żądania. Gdyby wy-
socy djabli ilustrowali bieżącą kartę naszego
życia, nie wymyśliliby nie zjadłszywasz-
czego obrazu naszej własnej roboty. Ste-
pita nam się wrażliwość na nieomotę swo-
jską, ale historyk, który ową kartę w prze-
szłości czytał bieżnie, przetrze sobie nieraz
oczy, ażby uwierzył, że one go nie myła.

Szczegółowe sprawozdania zawiadania-
ją nas o obradach nad nowym organem
prasy p. t. *Wista*, poświęconym kraj-
znawstwu. W pierwotnem założeniu spr-
wie tej miał stać *Wędrówek*, ale ostatnia
redakcyja zrobiła zeń „coś na kształt św-
dra” i zamiast odkryć jego dawne
skryty, który czasami wprawiają w zdumie-
nie najbujniejszą fantazyę, sprawiła si-
tko nowe. Dobydaj ono jaknajdłużej wy-
pełniało się wiadomościami z etnografii
i geografii krajowej, bo więcej go potrze-
bujemy, niż swych „programów”, tła-
kających duszne powietrze papierowem
skrzydłami. W ogłoszonym wszakże skła-
dzie redakcyi, przedstawiającej rodzaj „mi-
nisteryum do spraw bieżących”, nie zna-
liśmy właśnie tego nazwiska, które sta-
nowiłoby najlepszą rekojmiej przedsięw-
zięcia — p. W. Nalkowskiego. Jest to dziś
u nas najpoważniejszy geograf, uczoney,
który nie ma nie wspólnego z literatami
„czyste wody” i który niezawodnie up-
rawi zaniebiedaną u nas niwę. Jemu więc
przedewszystkiem *Wista* powierzyć się
winna, o ją pogłębi, ureguluje, ubezpie-
czy od melian i rozlewów. Ogół nasz,
który uczy się encyklopedii literatury
z prospektów i pism paradydycznych, który
widzi klejnoty w bukłach mydlanych, nie

zna wielu ludzi istotnej wartości, bo ich na rynku pracy nie widuje. Do tej cieni niezasłoniętej gromadki należy również p. W. Nalkowski, którego geografa fizyczna ma wkrótce wyjść nakładem Kasy Mianowskiego. W tej pracy spodziewamy się cennego nabytku dla nauki, która czasem doprawdy wygląda u nas, jak stara, waląca się stodoła, przeznaczona na rozebranie.

Roset Frandy.

NA WIDNOKREGU.

Stagnacja w wyprzedawaniu się niemcom. — Dobre usługi *Słowa*. — Ze statystyki cmentarnej własności ziemskiej w Galicyi. — Co uratuje wielką własność naszą podług *Wielki* i co nam da miliony podług *Korespondenta plockiego*. — Jak się wyrazi solidarność żydów plockich? — Złoty diwłok dobrego czynu.

Efialtesowa lista polskich panów, sprzedających ziemię swe komisyi kolonizacyjnej, nie wydłuża się. Nowe nazwiska nie przybywają. Czy Efialtesów już więcej niema w tej sferze? Czy głos oburzenia i boleści, który się wydarł z piersi całego narodu, powstrzymał akwapliwych? Czy założenie banku ratunkowego było nadzieją przepietowania niemi i stanowiska obywatelskiego niekoniecznie w płomieniu hańby? Czy narazicie komisyi kolonizacyjna sama teraz odrzuci ofiarowane jej nowe kęsy polskiej ziemi, dopóki się nie upora ze szmatami, które już połknęła?

Nie chcę lekką ręką podsuwać czytelnikowi żadnego z powyższych rozwiązań. Za mało mam na to wskazówek, a te, które mam, smutne są. Do nich przybyła w ostatnich czasach jedna. *Słowo* warszawskie usiłuje przekonać cyframi, że polscy obywatele w poznaniu muszą sprzedać niemcom jeszcze więcej niż piątą część posiadanej dziś ziemi, za 82,700,000 marek; obecnie bowiem obszary dworskie, po opłaceniu podatków i procentów, przynoszą tylko po 1 marce 40 fenigów z morga, na utrzymanie zaś domów, melioracje i reparacje w gospodarstwie potrzeba liczyć po 3 marki z morga. Rodzi się stąd deficyt, którego inna cena niepodobna wyglądać. *Słowo* rachuje, że ziemia polska w K. Poznanińskiem warta jest w okrągłych cyfrach 526 milionów marek, że przynosi brutto 3% dochodu i że obciąża ją dług wynoszący 247½ milionów marek, za który płacić trzeba po 5%.

Nie posiadani niezbędnych materiałów do sprawdzenia powyższego rachunku. Nie chcę nawet i nad tem się zastanawiać, czy istotnie tamteza „majątki polskie, leżące po największej części w najlepszej glebie” tylko 3% brutto dochodu przynoszą. Gdyby wszakże zgodzić się na te wszystkie cyfry, to jeszcze i wtedy wystąpienie *Słowa* musi robić wrażenie gorsze, niż tak zwana adwokacka obrona. Adwokat broni obwinionego już po dokonaniu czynu, który nad oskarżenie ściągają; przewidując *Słowo* zawczasu i z góry wyjednać usiłuje wyrok usprawiedliwiający, zanim jeszcze ofiarne odpalenie piątej części kraju stanie się czynem dokonanym. Czy przynajmniej obrona sympatycznych „ofiarników” była wyczerpująca? Czy istotnie zadłużoną ziemię koniecznie stracić musimy, czyli niemcom sprzedać? Czy wszystkie długie zaciągnięte były od niemców tylko? Czy polskim wierzycielom żadna już plachetka ziemi nie przypadnie? Czy sławny bank ratunkowy patrzeć ma z złoconemi rękami na tę zapowiadana, hurtownia wyprzedawcy? Wspomniany artykuł *Słowa* przedrukowały niemal wszystkie pisma polskie, a mało które wystąpiło z zastrzeżeniami. Dziś ów artykuł działak może z si-

łą prawdziwej zarazy moralnej, z góry wyjednać pobłażliwość i dla przyszłych sprzedawców i dla przyszłego banku. Mogą w nim czerpać otuchę. Byłoby wystąpienie *Słowa* obmyślane? — rozumne?

Od spraw poznanińskich przejdę do stosunków rolnych galicyjskich, na które ciekawe światło rzuca obszerny referat p. Franciszka Stefczyka p. t.; „Licytacje sądownie większej posiadłości ziemskiej w Galicyi od r. 1871 do 1885.” W ciągu tego dziesięciolecia sprzedano w Galicyi drogą przymusową 520 większych posiadłości ziemskich, czyli przeciętnie po 52 rocznie. Opierając się na statystycznych zestawieniach, autor wspomniany asprzeżga, że w północno-wschodniej Galicyi wystawiane bywają na przymusową licytację majątki o stosunkowo najwyższe cenie szacunkowej, która w przecięciu przekracza 110,000 złr. Pierwsze miejsce tu zajmują okręgi sądowe: tarnopolski i kolomyjski. Natomiast w zachodniej części kraju, w obwodach krakowskim, wadowickim, nowo-sądeckim, tarnowskim, rzeszowskim, przemyskim, przeciętna cena szacunkowa wynosi 57,000 złr. W obwodach kolomyjskim, złoszwskim i tarnopolskim sprzedano za licytacji sądowej między innemi pięć majątków z sumą szacunkową wyżej miliona. Ponieważ wszystkich okręgów sądowych jest 13, a sprzedaży za licytacji odbyło się przez 10 lat 520, wypadłoby tedy przeciętnie po 40 sprzedaży na okręg przez lat dziesięć, czyli po 4 rocznie. W rzeczywistości cyfry wcale inaczej się układają. Kiedy okręg wadowicki miał przez cały ten czas 5 sprzedaży, czyli jedną na 2 lata, to przemyski miał ich 89, czyli po 7 rocznie. Szkoła, że autor zaniedbał podać objaśnienie różnic tak uderzających. W 130 wypadkach domagało się licytacji galicyjskie Towarzystwo kredytowe we Lwowie, w 109 galicyjski Bank hipoteczny we Lwowie, w 154 rozmaite inne zakłady kredytowe, w 3 Wydział krajowy imieniem funduszów stypendyalnych, w 3 c. k. prokuratorzy skarbu, w 105 osoby prywatne i w 16 wierzycieli niepodany. Z lizb 105 wierzycieli prywatnych, autor na podsta wie brzmienia nazwisk zalicza 56 do starożytnych, pozostałych zaś 49 do chrześcijańskich. Przyczem nadmieniam, że ci ostatni występują przeważnie w charakterze właścicieli legatów spadkowych. Wogóle p. Stefczyk widzi w Galicyi postęp ku lepszemu. Spostrzeżenie zaś swoje opiera na tem, że naprzód liczb licytacji, dosięgłszy maksimum w r. 1879, odtaż przez cztery lata maleje; wzrost jej zaś w ostatnich dwóch latach „możemy przypisać nadzwyczajnej konstancyi wywołanej przez konkurencyę zagraniczną” — czynnik, z którym dawniej „mało się liczone.” Trochę dziwnom się wydaje, że p. Stefczyk optymizm swój na takiej wspiera podstawie. „Konstancya” z przyczyny konkurencyi postronnej zwiększać się obiecuje raczej niż zmniejszać, w miarę jak za europejskie rolnictwo coraz więcej i na rozleglejszą stopę wysyskiwać będzie swe doskonałe warunki.

Drugą podstawą dobrych widoków na przyszłość jest okoliczność, że stosunek liczebny wierzycieli prywatnych wogóle, a zwłaszcza wierzycieli żydów, zmniejsza się bardzo w drugiej połowie okresu dziesięcioletniego; natomiast instytucje kredytowe coraz przeważniejszą rolę odgrywają. One są dziś kredyty tanższy.

Ta pociecha w istocie coś znaczy, a znaćby jeszcze jeszcze więcej, gdyby nie to, że i ten tanższy kredyt podobno wcale nie tanio ziemianom galicyjskim wypadł. Bądź co bądź, człowiek jest tak spragniony jakiegokolwiek pomyślniejszej wiści, że chce uwierzyć w materialne podniesienie bodaj nieznaczne galicyjskiego rolnictwa, które tylko przeciętnie po 62 majątki za cenę 4 milionów rocznie wystawia na sprzedaż.

Nad losami ziemian w Królestwie zastanawiał się niedawno bezimienny ekonomista w *Wielki*. Postawiwszy sobie pytanie: „dlaczego rolnik u nas tworzy swój zaszczytny sprzedaż niższej procentowej jego wartości” — znalazł odpowiedź dość słuszną i nienową, że „przy kupnie zboża kupiec ma za sobą wszelkie for specialty w swoim fachu handlowym, odpowiednio przygotowanego i rutynowanego, wówczas gdy rolnik występuje jako dyktant, przez którego sprawy handlowe traktowane są tylko przypadkiem.” Alenowem jest lekarstwem mającemu stanowisko rzeczy zaradzić. „Prawa stanowcza nastąpi, gdy se rdzenne go, miejscowego żywieli wytworzy się potężna klasa bogatych przemysłowców i kupców, tak zwana za granicą *la haute bourgeoisie*.” Ta bowiem klasa otworzy „dyktantom” tani kredyt... Zapewnia o tem wspomniany ekonomista. Ze tani kredyt może zastąpić fachowców, to już jest jasne jak słońce.

Ponieważ wytworzenie mieszczaństwa bogatego i potężnego należy do przyszłości, zapewne dość dalekiej, więc tymczasem *Korespondent plocki* wskazuje krótszą drogę wzbogacenia kraju milionami, dzieł wywołania za granicę. Powołując się na list ziemianina, p. P., zachęca do plantowania kawy na ziemi uprawnej, jak pod warzyw. Pan P. otrzymał bardzo dobry rezultat z zaprowadzenia takich plantacji na ziemi leższej, a średni rezultat — z ziemi gliniastej. Niobawem tedy kawa plocka, przetworzona przez tajemną „Zgodę,” znacznie nas bogaci.

Z tegoż pisma czerpię przyczynek do stosunków żydowskich w nas. Dozór bieżący plocki rozesał swoim członkom zaproszenia w żargonie i w języku niemieckim — z pominięciem polskiego.

Żydy zaszczytny gniewają się, gdy za winy jednego lub kilku czyni ktoś odpowiedzialnym ich ogół, jakoby solidaryzujący się z każdym zaszewch współzawodniców. Otóż plocki żyd mają wyborną sposobność dowiedzenia, iż nie solidaryzują się z członkami swego dozoru bieżącego w pożytywaniu niemożny za drugi, obok zarobku ojczyzny, swój język.

Na zakończenie fakt, o którym donosi korespondent *Wielki* z okolic Janowa ordynackiego. Ksiądz dziekan tameczny otrzymał beśmiennie 92 dukaty holenderskie w złości dla rozdania między włościan majątków, należących przed kilkudziesięciu laty do rodziny Wiercienskich, jako naprawę krzywd wyrządzonych tymże włościanom przed pół wiekiem. Dla wsi Stojeszyna przeznaczono 21 dukatów, dla Lutego 16, dla Wierzboskiego 46 i dla wsi Antolin i Majdan Obleszno 9 dukatów. W d. 10 października r. b. naczelnik powiatu Janowski, wezwawszy do gminy gromady swi wzmiankowanych, doręczył im dukaty podług woli niewiadomego dawcy. Gromady jednomyślnie przeznaczyły cały ten kapitał na rzecz kościoła parafialnego w Modliborzycach, do dyspozycji miejscowego proboszcza. Tak się niozowie piorą ze tradycy. Niestety niostarczyłoby wody na wypranie wszystkich.

Jakiem ohoem owzie się dziwięk tych dziełgłędzięsięci dwóch dukatów w sorach tych, którzy na słowo umiędzy gotowi humoryście, twierdzącemu, że na pracę około zdobycia szacunku i miłości ludu... dziś już trochę późno?

K. Zbrucki.

Z CESARSTWA.

Te samo *Nowosti*, które po za kwestyą bułgarską nie widziały wcale innych objawów życia społecznego, poruszyły właśnie

doniosłą sprawę wewnętrzną. Zawiera się ona mianowicie w samem pytaniu: czy prasa powinna poświęcać główną uwagę zagadnieniom wewnętrznym, z czego wypłyłaby naturalnie krytyka współczesnego dziennikarstwa, badanie przyczyn jego upadku w związku z nastrojem moralnym i umysłowym czytelników itd. Wspominałem poprzednio o artykule p. Michniewicza, który głęboko i gorąco zajął się obniżeniem poziomu etycznego i społecznego prasy rosyjskiej. Artykuł ten wywołał nietylko mnóstwo replik ze strony czytelników, na które odpowiedział znowu autor, ale skłonił także do zabrania głosu kilku wybitniejszych przedstawicieli literatury rosyjskiej, jak pp. D. Mordowcow, P. Boborykin i inni.

P. Michniewicz mówiąc o obniżeniu się moralnego i umysłowego poziomu społeczeństwa, słusznie twierdzi, że jest to najważniejsza, najbardziej zasadnicza sprawa wewnętrzna, a nawet, że ma ona bezpośredni związek z przebiegiem polityki zewnętrznej. „Prasa nasza obecnie — mówi on — z ojcowską troskliwością zajmuje się wyłącznie prawie pocoeniem rozkiełzanych braciów — bułgarów, wykazaniem im demoralizacji umysłowej i moralnej, oraz nawracaniem ich na drogę prawdy. Bardzo to pięknie, bezwzględnie, ale czy „bratniaki“ nie mają czasem racji odpowiedzieć naszemu dziennikarstwu i „wykazać łacniej“ publiczności słowami apostoła Łukasza: lokarun, wylecz się sam.“

Raczej wiódłoby, troszczyć się o uzdrowienie nasiadów wtedy, kiedy we własnym domu potrzeba nam koniecznie energicznej dźwigni — jest to, doprawdy, dziwna i niewłaściwa szczodroliwość. A oprócz tego należy pamiętać, że w sąsiednich stosunkach międzyplemiennych siła wpływu narodowego danego społeczeństwa jest proporcjonalną do stanu jego kultury i wysokości moralno-umysłowej. Żeby być silnym i oddziaływać w sprawach zewnętrznych, potrzeba przedewszystkiem być wewnątrz krzepkim i zdrowym.“

P. Mordowcow występuje w obronie „oświeconego czytelnika“, twierdząc, że przyczyną upadku jest pewna demokracyzacja prasy, która zaczęła przystosowywać się do gustów i wymagań tłumu. Ale i p. Michniewicz nie zaprzecza tego, sądzi jednak, że inteligencja głównie jest winna, dlatego, że głos jej nadaje ton opinii ogółu. Pogląd optymistyczny p. Mordowcowa o konieczności ruchu postępowego społeczeństwa, niezależnie od warunków zewnętrznych, uzupełnia on uwagą, że według świadectwa historii przebieg postępu przerywały nieraz kropki, a nawet całe szeregi kroppek, nie mówiąc już o innych znakach pisańskich. Dodać by tu można, że bywają czasem nawet wykreślenia całych ustępów.

Oto np. pewna część prasy od dawna już prowadzi zaciętą walkę z samorządem ziemskim i to nietylko z obecną formą jego, posiadającą istotnie wiele stron ujemnych, ale z samą zasadą, współzależności społeczeństwa w sprawach, dotyczących zarządu miejscowego. Tymczasem prasa liberalna, której największym obowiązkiem byłoby energiczne wystąpienie w tym przedmiocie, milczy, chociaż nie zaprzecza chyba, że dla społecznego rozwoju narodu, zachowanie i prawidłowa organizacja samorządu miejscowego jest rzeczą stokroć ważniejszą, aniżeli wszelkie awantury, wyprawiano przez niedźwiedźnych bułgarów, gdyby nawet nosiły one taki obrażający charakter, jak np. gwałt spełniony na osobie P. Ruskiego Strannika, którego agitatorzy bułgarscy wciągają w zasadzkę i obili.

Jak wspomnieliśmy wyżej, ziemię rosyjską ma wiele stron ujemnych; w ostatnich czasach zwłaszcza ujawnione zostały liczne nadużycia, które dają się policzyć pod kilka kategorii. Nie są to więc

już objawy przypadkowe, ale znamienne rysy istniejącego stanu rzeczy. Te pisma jednak, które występują przeciw ziemięstwu i żądają reformy ich lub całkowitego zniszczenia, zapominają, że w czasie największego ożywienia działalności społecznej, w czasie, kiedy właśnie te organy „przywłaszczały sobie nieodpowiednią rolę parlamentów powiatowych i gubernialnych“, nie było wcale prawie nadużyć, występujących dzisiaj tak dobitnie. Odnajdujemy samorząd miejscowy w ręce zła, czego domaga się np. *Gradszanin*, nie usunęłyby władzowi dzisiejszych, które występują właśnie w tych ziemiach przeważnie, w których żywili szlacholice posiada wpływ i większość liczącą. Niektóre oszaki pozwalają wnioskować, że sprawa samorządu ziemskiego znajduje się w poważnem niebezpieczeństwie, niedługo bowiem *Maskowskaja Wiedomosti* wystąpiły przeciw niemu z oskarżeniem energizmem i namietnem. Z obroną zaś wystąpił dotychczas jedynie *Russkij Kurjer*, dziennik niezwy, nieposiadający wszakże szerokiego wpływu.

„Znamy cenę okoliczności i sił naszych przeciwników — powiada on. Dobrze i od dawna rozumiemy, że „siła łamie słomę“ i że nie my, nie prasa jednego z nami obywateli obroni to, co skazane jest na zagładę, albo na zredukowanie, według przepisanej recepty. Ale smutne to przekonanie nie pozwala nas ani prawa, ani obowiązku obrony tego, w co wierzyliśmy szczerze i wiernym, w czem widzieliśmy i widzimy pomyślności kraju i nadzieję przyszłego postępu. W pewnych okresach dziejów ludzkich głos umiarkowania i sprawiedliwości rzadko bywa wysłuchany, rzadziej jeszcze wywiera wpływ, a nigdy prawie nie uprzedzi katastrofy. Pomimo to, wiara w słuszność obrony danej sprawy i względny moralnie zmuszają nas do odparcia kierunków skrajnych, dają nam odwagę i siłę światła nadziei, że głos umiarkowania i prawdy może być jeszcze wysłuchany.“

Tymczasem reszta prasy t. z. liberalnej, zajęta przebiegiem spraw bułgarskich, za ledwie zdążyła zmięknąć, jest ponurą wypadków i nie ma czasu myśleć o ziemiach, albo zapomniała o nich zupełnie, albo machnęła porywistym ręką, podobnie jak p. Boborykin, który w sprawie obniżenia ideałów moralnych i społecznych ogółu czytelników powtarza bolesny wykrzyk Szczeprowskiego Kramolnikowa: „Nie potrzeba, nie potrzeba, nie potrzeba!“

Ta obojętność, coraz szerzej rozpowszechniająca się w społeczeństwie rosyjskiem, przygotowała grunt pod zasiew doktryny, a raczej jedynej doktryny, której wymownym głosiocielem stał się znakomity pisarz rosyjski hr. Lew Tolstoj. Czytelnicy *Pravdy* słyszeli zapewne, że już od lat kilku znakomity autor *Wojny i pokoju* poruszył dotychczasowy tryb życia, pracując jak prosty robotnik, jak on żywi się i zbiera, potępił całą swoją przeszłą działalność artystyczną i pismo obecnie tylko opowiada o ludu, treści pozostawiając, oparte bądź to na legendach religijno-moralnych, bądź na apokryficznych żywotach świętych. W swoim czasie pozyskało wielki rozgłos jego wyznanie wiary p. t. *Moja spowiedź*, wydane za granicą. Obecnie Tolstoj piśmiennictwie i ustnie, słowem i cieniem, wyklada naukę swoją, której główną zasadą polega na tem, ażeby nie sprzeciwiać się złu, złu, złu, sił. Teoria ta w społeczeństwie inteligentnem znalazła wielu bardzo zwolenników, w prasie zaś wywołała namietne spory. Zazwyczaj trzeba, do najznakomitsi publicyści rosyjscy i najpoważniejsi pisma surowo potępiły doktrynę, rozumie się, głównie ze względów polityczno-społecznych. Sprawa ta, gdyż polemika nawiązała jej nie można, hr. Tolstoj bowiem nie odpowiadał na zarzuty, auslugno wzruszechniar na dokładny rozbiór. Nie wda-

jąc się obecnie w szczegóły, zaznaczymy tu tylko pewną stronę jej, na którą, o ile wiem, krytyka nie zwróciła należnej uwagi, owsem spotkałem nawet zdania wręcz przeciwnie temu, co wypowiedział zamierzam.

Jakiś krytyk francuski powiedział, a prasa rosyjska z zadowoleniem powtarza, że propaganda hr. Tolstoja „nie powstrzymuje wrażliwego wciąż dążenia do sprzeciwiania się złu.“ Zagadką tylko dla francuza i dla jedynomyślnych z nim publicystów rosyjskich pozostaje fakt, jakim sposobem doktryna, przeciwna nauce i postępowi, znalazła mogła zwolenników w tej właśnie klasie społecznej, której przekonaniami poniewierza, której odmawia prawa istnienia. Rozwiązania tej zagadki szukać nie będe, ale sądzę, że powódzenie jej można dosyć prawdopodobnie objaśnić.

Powódzenie to polega głównie na zgodności jej z charakterem narodu. Historia sekt rosyjskich przedstawia nam tysiące przykładów biernego poddania się, nieopierania się złu siłą. W tych czasach, kiedy raskolnicy (odseparcyści) przesładowani byli groźno przez władzę państwową, maszy ich ścigał dobrowólnie śmiertelny meczeska. „Samopalenie“ pochłonięło tysiące ofiar. Nieraz wobec władz i wojska, niekiedy zaś bez żadnego powodu sektański zamysłali się w domach, podpalali je i ginęli w płomieniach. Jednym z dogmatów rosyjskiego radykalizmu było zdanie, że sekciarstwo stanowiło w dziejach narodu żywioł protestujący, że było ono reakcją przeciw biurokracjom i przywilejom klas wyższych.

Zdanie to do dziś posiada wiele zwolenników, chociaż jeden z grunтовiejszych badaczy sekciarstwa, p. Charlamow, wykazał dowodnie, że było ono zawsze protestem biernym. Nauczyciele sektantów głosili tylko, że należy uciekać od zła, nigdy zaś nie nawoływali do walki z niem. Dlatego sekty rosyjskie nie wytworzyły wcale nowych form życia. P. Charlamow utrzymuje, że nawet kozactwo, owe wolne druzyny, osiadające na kresach państwa, wywołane było również chęcią uchronienia się od „zła;“ i ono także nie zdobyło się na żaden protest i świadomie nie wytworzyło żadnych ideałów bytu. Sekty racjonalistyczne rosyjskie: duchoborney, molokanie, szundziści — odrzucały również wszelki protest przeciw temu, co w ich pojęciach jest złem, faktu zaś tego nie można objaśnić jedynie doktryną religijną. Pokrewno im np. sekty anabaptystów, braci czeskich i in. chociaż w zasadzie tak samo uważają za grzech śmiertelny przelew krwi i dzisiaj wiodą bardzo spokojny żywot, w swoim czasie wystąpiły przeciw istniejącemu wówczas w Europie porządkowi rzeczy z protestem gwałtownym i namietnym. Zdać mi się, że właściwe znaczenie nauki hr. Tolstoja wtedy tylko ocenionem być może, kiedy postawiona będzie w związku z dziejami sekciarstwa rosyjskiego, z którego charakterem stokroć więcej ma ona podobieństwa, aniżeli np. z budyzmem, chociaż i z tym ostatnim przedstawia pewną, bardzo jednak ogólnikową analogię.

Imionnik Lwa — Aleksy Tolstoj, autor *Księgi srebrnego*, dramatów i poezji, dosyć znany u nas, był znowu wyznawcą zasady sprzeciwiania się złu, chociaż w sposób delikatny, w formie lektury satyry. W ostatnim zeszycie *Russkiej Stariny* znajdujemy dowcipny wiersz jego, teraz dopiero pośmiertni autor ogłoszony drukiem. W wierszu tym jest mowa o sprzeczności do jednego minnowania różnych narodowości, załadujących państwo rosyjskie, przy wyliczeniu ich autor szerepuje do nich: *entre nous*, jak powiada, że są między niemi i polacy. Wyznienia on i charakteryzuje kilku działaczyw wybitnych w tej sprawie „podporządkowywania“ odmiennych typów, jak np. ks. Czerskaskiego i in. Dowcipem bardzo jest zakończenie: autor

ubolewa, „jaka to szkoda, że nie ma u nas etyopów,” wyobraża bowiem sobie z jakim zapalem jeden dzialacz mazaby biala farba „nieodwołana” fizyognomii, drugi stosowalby te operacye do strony odwrotnej, inny, nazwany pierwsza litera K. „z gorliwoscia Alby plaszczylby nosy”, czwarti wzrazie wykrzykiwal: Hosanna! Aksamit! Znajduj bardzo, że nie moge podać czytelnikom wiersza tego w przekladzie rymowanym, któryby mógł przedstawic w przyblizeniu dowcip i wdziak oryginalu.

J. L. Poplawski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wepniańsk zapomogę. miłanowicie 12,000 rs. na budowę domu otrzymała Szkoła rzemieł przy ulicy Jasnej za naszem pośrednictwem od jednego z szan. abonentów *Prawdy*, któremu nadto zakładamy najpoważniejsze zasługi dobroczynne. Z tej hojnej ręki w szanowny dzisiejszy numerze podajemy 150 rs. różnych ofiar. Szanowny dobroczyńca poleca wykazywać je pod kryptonimem, nie odsłaniając więcej jego nazwiska, chociażby je niewątpliwie wielu poznać chciało.

Z Prus K. Kanteckiemu w Poznaniu wytoczono proces za korespondencję z Warmii, donoszącą, że w szkołach tamtejszych wcale nie uczą po polsku i że są nauczyciele nieznający tego języka. W sądzie oskarżony dął przesłuchania Sproba, Inspektora oświaty; ten jednak zasłonił się tajemnicą urzędu. Pomimo stwierdzonego faktu i wymownej obrony, skazano ks. Kanteckiego na dwa miesiące więzienia.

P. Ka. Pillati odpowiedział istotnej potrzebie, rozpoczynając wydawanie „Praktycznych wzorów rysunkowych” dla dzieci, kształcących się w tej sztuce bez osobnego nauczyciela. Znakomitą rysunek należy u nas do błędów tradycyjnych; to też ludzie, którzy odebrali staranne wychowanie, nie umieją nakreślić najprostszych przedmiotów i często w tej niedolności odrzucają brak dotknięcia. W zeszytach pierwszy p. Pillati na odwrocie wzorów dał kropkowane linie, po których uczeń może z łatwością narysować każdą figurę. Dalsze zeszyty zawierać będą zadania trudniejsze.

Prasa polska. Wydawnictwo tygodnika *Chwila* zostało zawieszone.

Prasa rosyjska. Gazeta kijowska *Zaria* przestała wychodzić wskutek nieporozumienia między redaktorem tytułowym a właścicielem i Istotnym kierownikiem pisma p. Kuliszczem.

Gazeta radomska znowu zmienia redakcję i, zasady, dotychczasowy kierownik tego pisma p. Z. Pietkiewicz usunął się od zajęć redakcyjnych.

Towarzystwo śpiewackie w Warszawie p. n. „Lutnia” zostało zatwierdzone przez władze.

Towarzystwo kredytowe miejskie dla Płocka zostało zatwierdzone.

Ważna zmiana. Dotychczas, jak wiadomo, sądy gminne w Królestwie przyjmowały od interesantów wszelkie podania i dokumenty w języku polskim. Działo się to na mocy postanowienia b. Komitetu do spraw Królestwa Polskiego, które weszło bez zmiany do ustawy o organizacji sądownictwa (§ 464, przypisek). Artykuł ten określa, że tylko dokumenty wychodzące od sądu winny być redagowane bezwarunkowo w języku rosyjskim. Tak też przepis ten tłómaczono op. w znanej sprawie Noszitz-Jakowskiego. Obecnie Senat wyraził inny pogląd w okólniku, wysłanym do sędziów sędziów pokoju. Ukaz Senatu tłómaczy, że używanie miejscowego języka w rozprawach sądowych dopuszczalne jest tylko w razach wyjątkowych, a więc jedynie w przemówieniach ustnych, wszelkie zaś podania redagowane być winny w języku rosyjskim. Rozporządzenie Senatu jest obowiązującym dla sądów gminnych.

Komisyja kolonizacyjna w Poznaniu i Prusach zachodnich zakupiła dotychczas 10,085 hektarów ziemi za 5,320,000 marek.

Dochód z akcyzy, stanowiący więcej niż 1/4 ogólnego budżetu dochodów, zmniejsza się stale w latach ostatnich, pomimo, a może wskutek podniesionej nor-

my opodatkowania. W r. 1893 wynosił 225, w 1881 217, w 1885 zaś 207 milionów rubli. W r. b. będzie jeszcze niższy, polewał w pierwszym półroczu wyniosło tylko 91 mil. rubli.

Kobiety-lekarki. Dotychczas nie wiadomo było, czy dyplom, wydawany kobietom kształcącym się na kursach w Petersburgu, odpowiada pod względem naukowym dyplomowi lekarza. Teraz dopiero sprawę tę rozstrzygnęła twierdząco „konferencya” Akademii, pozwalając jednocześnie kobietom-lekarkom przystępować do egzaminu na stopień doktora medycyny.

Śmiała kradzież. W Petersburgu w pobliżu Pałacu zimowego znajduje się łuk tryumfalny, na nim zaś grupa rzeźbów potrojnej wielkości, odanych z miedzi. Obecnie dostrzeżono, że koniulm tym niewiadomo złodziejce podpalił ogony, zamiast których powykali kawkali starych rybn. Dodać trzeba, że był wysoki jest na cztery piętra i znajduje się w ówczesnej dzielnicy miasta.

Statystyka emigracji. W Ameryce północnej mieszka 7,300,042 cudzoziemców (9. ludzi nieurodzonych w kraju), w południowej i środkowej 6,033,169, w Azji — 1,548,344, w Australii — 789,521, w Afryce — 140,383. Z państw europejskich najwięcej cudzoziemców przebywa we Francji, bo 1,001,090, natomiast emigrantów francuzów liczą 482,664, wręcz przeciwnie stosunki przedstawiają Niemcy, tam bowiem na 276,731 cudzoziemców wypada 2,601,000 emigrantów.

Zmarli. Wiktor Pierre, znany fizyk, profesor politechniki wiedeńskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stół, prenum. Nie.

M. Os. Czytając panowie pracy Bobrzyńskiego, Szujskiego do historii, Kulickowskiego, Sposowicza do hist. lit. Udzieleniem lekcyj w tych przedmiotach zajmuje się kilku młodych badaczy, których wskazaliśmy.

A. Kor. Autor chce pozostać bezimiennym — z Warszawy.

P. F. Jak. Brukselskiego. Dziękujemy za objaśnienie do artykułu p. Karłowicza, że panna K. W. wyszła za kuzyna tegoż nazwiska, mieszka w Warszawie i al-bum posłada.

OFIARY.

Dla biednych. Bezmiełenne rs. 1.

Na wpis dla ucznia J. G. z Ilmei rs. 1; S. rs. 50.

Dla studentek polsk w Petersburgu. S. rs. 50.

Dla wypadkowej. S. rs. 50.

O g ł o s z e n i a.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 136.

Brozsarka bezpłatna



Gwarancya długoletnia

„EXSICCATOR”

Zabezpiecza wszystko co z drzewa od gnioła, niszczy grzybek drzewny, gusza wilgoć w starych domach i zabezpiecza nowo. Dozinkuje. Zastępuje olejną farbę w wszelkich kolorach i tańsz od tejże o 50%

Inżynier RITTER, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

MAKS SCHIPPEL

Nędza dzisiejsza i dzisiejsze przeludnienie.

Tomaczenie z ostatniego wydania niemieckiego, wyszło z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Warszawa, 1886 r. Cena kop. 90.

Skład główny w księgarni Gobethnera i Wolffa. 2—3

Wielu nowych abonentów naszych wyraziło chęć posiadania poprzednich bezpłatnych dodatków *Prawdy* a niemożność nabycia ich po dotychczasowej cenie. Ulegając temu życzeniu, dla nowych (od 1 października) abonentów, którzy co najmniej opłacą prenumeratę półroczną, zmniejszamy cenę wszystkich dodatków o połowę, tak, że one kosztować będą:

Pypin: *Kwestya polska* (kilkaście tylko egzemplarzy) kop. 50 (zamiast rs. 1).

J. Brandes: *Główna grądy literatury XIX w.* rs. 3 (zamiast rs. 6).

Ekonomia polityczna rs. 1 kop. 50 (zamiast rs. 3).

Liard: *Logika* kop. 50 (zamiast rs. 1).

Esipinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (zes. 1) kop. 25 (zamiast 50).

Zniżenie zatem ogólnie wynosi rs. 5 k. 75.

Uwaga. Na kosztę przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla. Naturalnie, dla nieabonentów *Prawdy* cena owych dzieł pozostaje dawniejsza.

Na początku roku przyszłego wydzie nakładem naszym w tłumaczeniu polskim epokowe dzieło amerykańskiego badacza Morgana (z objaśnieniami Marxa i Engelsa), którego olbrzymią wartość wykazywaliśmy szczegółowo w jednym z artykułów *Prawdy* — p. t.:

SPOŁECZEŃSTWO PIERWOTNE

czyli badanie postępu ludzkości przed barbarzyństwem do cywilizacji.

Dzieło to, które dało nową podstawę badaniom naukowym, mające przeszło 40 akuszy druku, w drodze prenumeraty kosztować będzie tylko rs. 3., z przesyłką rs. 3 k. 30. Po wyjściu książki cena jej zostanie znacznie podwyższoną.

Przy Administracji *Prawdy*, która od tygodnia mieści się w oficynie tegoż domu na pierwszym piętrze (wejście na prawo) urządziła będzie nasza

KSIEGARNIA,

załatwiająca wszelkie zlecenia interesantów co do kupna i sprowadzania książek oraz prenumeraty pism. Abonent *Prawdy* w Warszawie mogą przysłać nam swoje zgłoszenia piśmiennio, a my im sądną i książkę odesłamy do domu, gdzie jej cenę sąłacą. Również z prowincji przyjmujemy odpowiednio obatalunki.